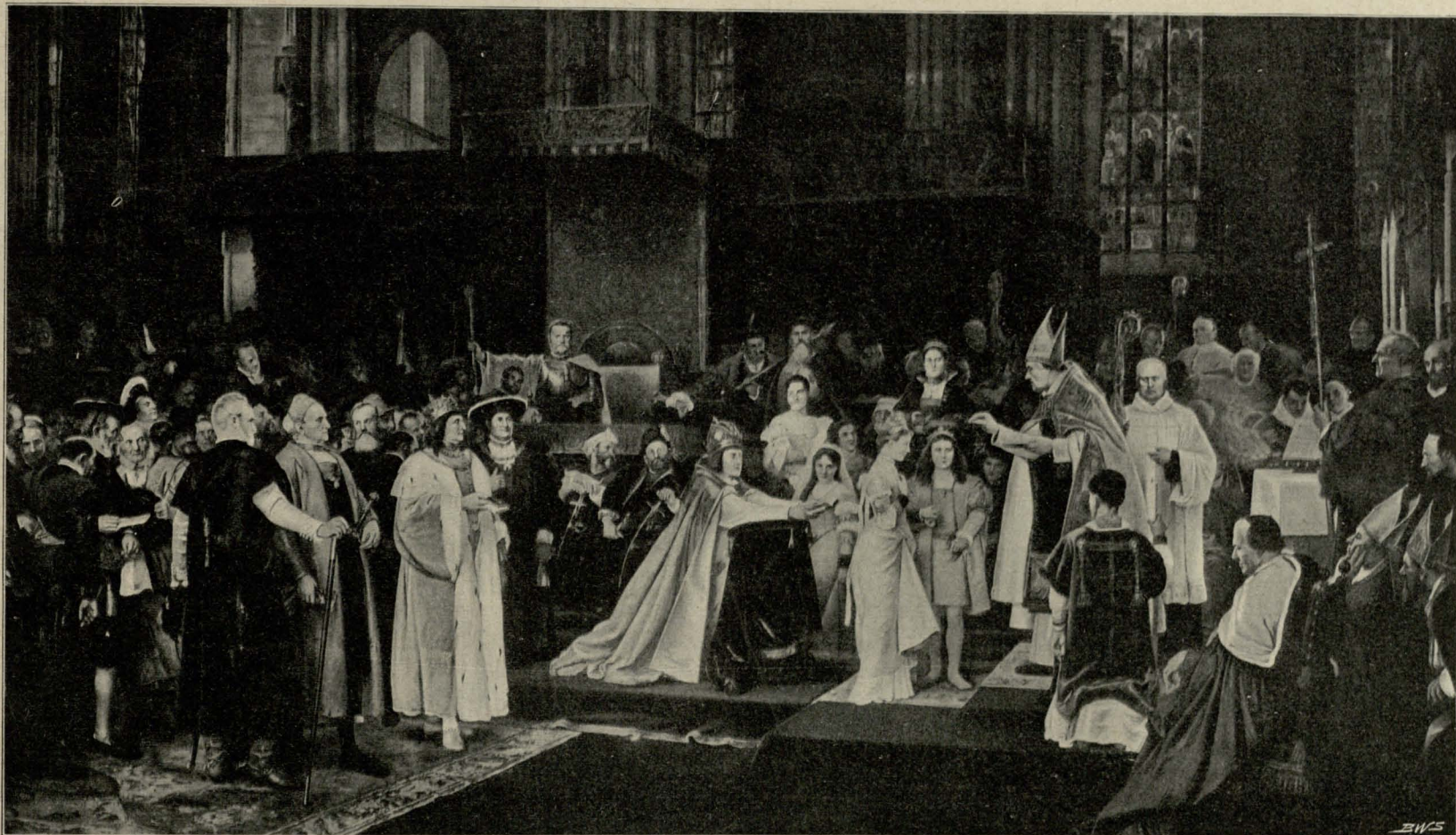


TYGODNIK ILLUSTROWANY



ZAŚLUBINY WNUCZKI CESARZA MAKSYMILIANA I

WACŁAW BROZIK

ADOLF CZERNY:

O OBUDZENIU SIĘ CZECH.

Znakomity rzeźbiarz - mystyk, Franciszek Bilek, wytworzył skulpturę, nazwaną „Alegorya o wielkiem upadnięciu Czech“: u stóp jakiegoś olbrzymiego, lecz rozbitego posągu leży postać kobieca, której z rąk wypadła biblia.

I rzeczywiście taki zupełny był upadek Czech po boju na Białej Górze i po wojnie trzydziestoletniej. Gwałtowna przeciwreformacja katolicka, która owego czasu nastąpiła i trwała przez cały wiek XVII, a właściwie jeszcze w XVIII wieku, do wydania patentu tolerancyjnego przez cesarza Józefa II, zniszczyła, zdawało się, naród czeski na zawsze.

Kwiat społeczeństwa czeskiego wyemigrował zagranicę, aby nigdy już nie wrócić, uciekała szlachta, uciekało mieszczaństwo, uciekał i lud. Do Czech sprowadzono obcych awanturników, których za gwałcenie ludności domowej wynagradzano mieniem emigrantów lub straconych. Lud przemocą przywracano na łono Kościoła katolickiego, dawne książki czeskie mu odbierano i palono tysiącami na stosach — i przez to niszczone jego kulturę, podstawę jego odrębnej egzystencji.

Dzięki przeciwreformacji katolickiej, prowadzonej przez jezuitów i rząd cesarski, naród czeski, który przez dwa wieki stał na czele ruchu umysłowego Europy środkowej, zatonął w ciemności lub martwocie. Wychodziły wprawdzie jeszcze książki czeskie, ale rzadko i w języku zeszpeconym. Literatury właściwej nie było — żyła jedynie pieśń ludowa, tak jak język czeski przechowywał się prawie tylko pod dachami słomianymi chat wiejskich. W miastach zapanował język niemiecki, jako język klas wyższych i wyższego wykształcenia.

Nawet uczeni czescy, którzy budowali podwaliny pod dzieło obudzenia narodu czeskiego, pisali dzieła swoje po niemiecku lub łacinie. Największy z nich, uczony Józef Dobrowský, na początku swej działalności literackiej nawet utrzymywał, iż kultura czeska już jest ukończona, iż nie należy się języka czeskiego przez wprowadzanie nowo utworzonych słów sztucznie odnawiać. W praktyce jednak przez całe życie sam język czeski kultywował, odtwarzając naukową budowę jego i opierając ją na szerszej podstawie sło-

wiańskiej: był on nie tylko ojcem językoznawstwa czeskiego, ale sławistyki wogóle.

Obok niego szereg jego przyjaciół i uczniów pracował nad wskrzeszeniem i udoskonaleniem języka czeskiego, oraz nad podniesieniem i wzmocnieniem ducha czeskiego. Pamiętnym pod względem oczyszczania i wzbogacania literackiego języka czeskiego zostaje przekład „Atali“ Chateaubrianda, dokonany przez Józefa Jungmanna (1801), gdzie w nawiasach lub odsyłaczach tłómaczono znaczenie słów mniej znanych, zapomnianych lub przyjętych. Jednocześnie badano historię czeską w celu wzmacniania świadomości narodowej; na tem polu gorliwie pracowali G. Dobner, F. M. Pelcl i inni.

W teatrze niemieckim po nieudanych próbach z r. 1771 rozpoczęto od r. 1785 wystawianie od czasu do czasu sztuk dramatycznych czeskich, w 1786 r. zaś otwarto pierwszy teatr czeski, a raczej czesko-niemiecki, w budowie drewnianej na placu Konnym, później nazwanym placem św. Wacława. Powodzenie czeskich przedstawień teatralnych zrodziło pierwsze początki czeskiej

literatury dramatycznej; liczne sztuki niemieckie i inne na język czeski tłómaczą i oryginalne gry czeskie piszą bracia Wacław i Karol Ignacy Thámowie, P. Sedivý, A. J. Zima, J. N. Stěpánek i inni. Dobrowský naliczył sztuk czeskich (głównie tłómaczeń i przeróbek), napisanych w latach 1786—1792, do 300, K. I. Thám stanowi liczbę sztuk czeskich w l. 1786—1805 na 1000; największa część naturalnie pozostała w rękopisie i zginęła. Powieść czeska zrodziła się znacznie później, niż poezya i dramat; Kramérius i inni z początku drukowali tylko przekłady i przeróbki, pierwsze poważniejsze próby powieści czeskiej piszą dopiero około r. 1820 Józef Linda, V. Novotný, F. B. Tomsa i inni.

Wszystkie te zabiegi nie pozostały bez śladu w życiu czeskim. Mowa czeska znalazła gorliwych zwolenników nawet w kołach szlacheckich; z pierwszych szlachciców, piastujących z umiłowaniem język czeski, wymienić należy Jana rycerza z Neuberka i Jana Jenika z Bratřic. Szlachta z przyczyn politycznych, aby zaznaczyła odrębność swą, ostentacyjnie używała języka czeskiego podczas koronacji ces. Leopolda II, starała się—niestety, na próżno—o wprowadzenie języka czeskiego w gimnazyjach i nareszcie, idąc za wskazaniem Dobrowskiego, przyczyniła się do założenia katedry języka czeskiego w uniwersytecie praskim.

Pierwszym profesorem języka czeskiego został Franciszek Marcin Pelcl w r. 1791 (czytać lekcyę rozpoczął właściwie dopiero w 1793 r.).

Od początku wieku XIX rosła literatura czeska we wszystkich gałęziach szybciej, wyżej, szerzej i korzenie zapuszczała głębiej. W r. 1806 Jan Nejedlý, następca Pelcla na katedrze uniwersyteckiej, poczynił wydawać pierwsze czasopismo literackie, kwartalnik *Hlasatel*. W tem czasopiśmie grupuje się głównie nowe, młodsze pokolenie z Józ. Jungmannem na czele. Epoka pierwszej czeskiej szkoły poetyckiej, A. J. Puchmajera i Sebastjana Hněvkowskiego, powoli się kończyła—na jej miejsce następuje szkoła Józefa Jungmanna, który w literaturze pięknej kapitalnie się zasłużył wspomnianym przekładem „Atali“, głównie zaś przekładem poematu Milтона „Raj utracony“ i innymi tłómaczeniami poetycznymi z języków dawnych i nowych, nareszcie poetyckimi próbami pierwotnymi. Słusznie można Jungmanna nazywać założycielem czeskiej mowy poetyckiej. Jako budziciel narodu swego, nie buduje przyszłości jego na warstwach wyższych, do których głównie przemawiali jego poprzednicy, lecz na szerokich masach ludu.

W r. 1818 założono Muzeum Królestwa Czeskiego, które się staje na długi czas ogniskiem ruchu umysłowego, szczególnie kiedy przy niem później założono Macierz Czeską (towarzystwo dla wydawania książek czeskich) i zaczęto wydawać poważne *Czasopismo Muzeum Król. Czeskiego*. W tym czasie młodzi romantycy, mianowicie W. Hanka, a przede wszystkim Linda, zawiedzeni w swoim patryotyzmie romantycznym dążeniem, aby Czesi mogli się pochlubić podobnie dawnymi pamiątkami poezyi narodowej, jak

Niemcy Nibelungami, Rosyane Słowem o pułku Igora i t. p., sfalszowali kilka pamiątek, z pośród których największego rozgłosu doszły rękopisy Królodworski (znaleziony 1817) i Zielonogórski (1818). *) Ale taki podstęp był niepotrzebny—w tym czasie myśl narodo-wa czeska miała już szereg ludzi, którzy byli zdolni poprowadzić ją przez lat dziesiątki do zwycięstwa.

Miała szereg ludzi nauki, którzy zasłynęli w całej Słowiańszczyźnie i zagranicą. Ku Dobrowskiemu, który dotąd był czynnym i cenionym przez cały świat uczony, zajmujący się Słowiańszczyzną, przystąpił wspomniany już Jungmann, który daje piśmiennictwu ojczystemu dalsze podstawowe dzieła, mianowicie „Slovesnost“ (1820), „Historię literatury czeskiej“ (1825) i nareszcie wielki, znakomity „Słownik języka czeskiego“ (1839). pojawił się w owym czasie Paweł Józef Šafařík, który już w 11 lat po wydaniu niemieckiego dzieła „Geschichte der slawischen Sprache und Literatur nach allen Mundarten“ (1826) wydaje swe pomnikowe „Slovanské starožitnosti“ (1837), kamień węgielny badania starożytności słowiańskich wogóle, dzieło znaczenia europejskiego. Wystąpił także i działał Franciszek Palacký, który później napisał słynne „Dzieje narodu czeskiego“ (doprowadzone do r. 1526) i został wodzem politycznym swego narodu, pracował znany przyrodnik, Jan Swatopluk Presl, który z Jungmannem i innymi założył pierwsze czeskie czasopismo naukowe, nazwane *Krok* (1821), rozpoczął swą działalność słynny fizyolog, Jan Ew. Purkyně i t. d. Słowem, budowano pierwsze mocne podstawy czeskiej nauki.

Podobnie piękna literatura czeska—poezja, powieść i dramat—wchodziła powoli na grunt bardziej poważny i artystyczny, wyzuwała się z trzewików dziecinnych. W r. 1824 Jan Kollár (podobnie jak Šafařík urodzony wśród Słowaków węgierskich) wydaje poemat ideowy „Slávy Dcera“, który nie tylko Czechom dodał otuchy i podniósł ich uświadomienie narodowe i słowiańskie, lecz zarazem został pierwszym źródłem idei słowiańskiej wogóle. Kollár dał tej idei nie tylko ciasną podstawę nacyonalistyczną, ale szeroką i wzniosłą podstawę wszechludzką, humanitarną. „Slávy Dcera“ i późniejsze niemieckie dziełko Kollára: „Über die literarische Wechselseitigkeit zwischen den verschiedenen Stämmen und Mundarten der slavischen Nation“ (1837), pierwsze mocno przemawiały za tą ideą, która w lipcu sprowadziła do Pragi delegatów różnych narodowości słowiańskich. Fr. L. Čelakowský odnawia nową poezję czeską pierwiastkami, zaczerpniętymi z pieśni ludowej, wydając po niektórych próbach poetyckich piękne zbiory „Ohlas písní ruských“ (1829) i „Ohlas písní českých“ (1839), i w jego ślady poszedł Józ. Jaroslav Langer i później szczególnie Karol Jaromir Erben („Kytice“) i t. d. Wtedy także wyrastał już literaturze czeskiej pierwszy poeta z Bożej

*) Iż rękopis Zielonogórski jest falsum, Dobrowský zaraz poznał i orzekł. Przeciw prawości Królodworskiego wystąpiono później, ale dopiero w najnowszym czasie, przez Gebauera i innych ostatecznie dowiedziono jego nieprawości.

łaski, bajronista Karol Hynek Mácha, który przeszczepił na grunt poezyi czeskiej żywioły wielkiej poezyi wszechświatowej i którego poemat „Máj“ (1836), za życia poety wyśmiewany, został punktem wyjścia nowszej poezyi czeskiej.

Powieści czeskiej torowali drogę Jan Henryk Marek (pseudonim Jan z Hwězdy), później Józef Kajetan Tyl i Prokop Chocholoušek, dramat czeski dalej w jego rozwoju poprowadził Wacław Kliment Kicpera, później Tyl i inni.

Nareszcie pojawia się, jak ptak albatros przed burzą, Karol Hawliček (pseud. Borovský), poeta-satyryk siły żywiołowej, publicysta niezrównany i polityk, który pierwszy zajął się politycznym wychowaniem ludu czeskiego, mąż, który, jak wielki głaz granitowy, stanął na granicy dwu epok nowszej historii narodu czeskiego—epoki budzenia się narodu i budowania pierwszych podstaw jego kultury nowoczesnej i epoki dalszego rozwoju i rozkwitu tej kultury. Czasowo oznacza tę granicę rok rewolucyjny 1848. Jaki stopień osiągnęło uświadomienie narodowe, pokazują najlepiej dzieła polityczne Hawlička, jego cięte epigramy i satyry—pokazuje także zjazd słowiański, urządzony w r. 1848 w Pradze i od tego czasu żadną podobną manifestacją nie poprzedzony. *)

Nie może być zadaniem obecnego krótkiego i zwięzłego szkicu podać obraz rozwoju czeskiego ducha i siły czeskiej do dni ostatnich, do epoki, w której po Nerudzie i innych goreją słońca poezyi czeskiej, Swatopluk Čech, Jaroslav Vrchlický, Juliusz Zeyer i w czasie najnowszym J. S. Machar i inni, gdy nauka czeska w różnych gałęziach wiedzy ludzkiej ma licznych zastępców, gdy wzrost kultury czeskiej spowodował przywrócenie Czechom uniwersytetu praskiego i założenie czeskiej Akademii Umiejętności, gdy mają nie tylko własny Teatr Narodowy, ale obok niego kilka innych teatrów stałych, gdy muzyka czeska zwycięsko idzie przez świat (Smetana, Dwořák i t. d.), gdy czasopism czeskich liczy się do setek i książek czeskich co roku wychodzi na tysiące, gdy grafika czeska zwycięsko zawodniczy z francuską i niemiecką i t. d., gdy olbrzymi postęp czeskiego przemysłu i handlu ujawnia się naocześnie na świetnej wystawie jubileuszowej w Pradze, gdy obok Muzeum Królestwa Czeskiego istnieje cały szereg mnzeów i innych instytucji kulturalnych i t. d., i t. d. Chcieliśmy tylko pokazać, z jakich początków wyszedł obecny ruch życia czeskiego, którego nie wiem jak silna przemoc podołać więcej nie potrafi.

Czesi bowiem już stoją na gruncie kultury wszechludzkiej, na którym z pełną świadomością obudzenie się narodowe oprzeć usiłowali zaraz pierwsi ich budziciele i wskrzesiciele. **)

*) Nawet ostatnia konferencja słowiańska w Pradze nie może być porównywana z owym zjazdem z 1848 r. Porównanie takie zupełnie jest chybione.

**) Obraz obudzenia się czeskiego, o ile się przejawia w literaturze, podaje wyborne dzieło zbiorowe „Literatura česká XIX století“, wydane nakładem Jana Laichtera (Kr. Vinohrady). Dotąd wyszły 3 tomy. To dzieło też było głównym źródłem niniejszego szkicu.

STOSUNKI LITERACKIE CZESKO-POLSKIE.

Stosunki wzajemności literackiej i wymiany swoich utworów między dwoma jedynie bratnimi narodami zachodniej Słowiańszczyzny są dopiero w stanie ząbkowania.

Na przestrzeni dziesięciu lat mniej się tłumaczy ze spokojnej, krzepkiej i życiu przyjaznej literatury Niemcowej, Nerudy, Zeyera, niż w jednym roku, ba! w jednym kwartale z haszyszowej, trującej i tępiącej witalną energię młodzieży literatury zatraceniów Wschodu. Nasza nieznajomość literatury czeskiej podobna jest do tej ignorancji, jaka się zachowała w tradycji po ks. biskupie A. Załuskim, człowieku tak zresztą wszechogarniającej wiedzy i tak światłym. W jednym z listów swoich, przechowywanym dotychczas, w przejeździe do kąpiel w Czechach, pisze on, „że są tu jakowś ludzie wśród Niemiaszków, gadający językiem bardzo naszemu podobnym.“ Już atoli inny biskup, nieco później żyjący, ks. Kossakowski, wydaje pierwszą wiadomość polską o literaturze pobratymczej koło r. 1803: „Rzut oka na literaturę czeską.“

Dzisiaj nie tłumaczmy atoli z tego języka prawie nic, aczkolwiek w wieku XIV i XV jemu zawdzięczamy swój wyższy poziom kulturalny i, aczkolwiek oni np. tłumaczą już w XV wieku takie pieśni religijne Władysława z Gielniowa, lub np. pierwszy polski utwór świecko-dramatyczny Reja, myzogoniczny, antifeministyczny dyalog Warwasa z Dykasem (jedyne tegoż rękopis w Muzeum Narodowym w Czeskim).

W r. 1834 wydaje krótki zarys literatury czeskiej K. Winarzycki, a pod wpływem poczęcia się idei słowiańskorasowych i filozofowie nasi i uczeni nawiązują stosunki ze światem naukowym czeskim, kiedyś na krótko tylko zadzierżgnięte między ojcem sławistyki Dobrowskim a naszymi badaczami literatury: ks. Adamem Czartoryskim i Bandtkie-Stężyńskim. Libelt i Trentowski jeżdżą do Pragi, gdzie są znani i tłumaczeni.

Wpływowi historyzoficznych idei Trentowskiego poddaje się jeden z najgorętszych, herbowych patriotów czeskich, publicysta Karol Havlíček-Borowski, legendarny słowianofil, otoczony w Czechach przez lud kościuszkowskiego aureolą omal bohaterstwa i męczeństwa.

Dopiero po 48 roku i po zjeździe praskim zaczynamy się goręcej zajmować Czechami. Charles Edmond Chojecki po powrocie z Pragi wydaje dwutomową, gorącym afektem ujmującą kompilację pół-naukową p. t. „Czechia i Czechowie.“ Eliszka Krasnohorska tłumaczy bardzo poprawnie „Pana Tadeusza,“ a powieści Dzierzkowskiego, Zacharyasiewicza, Bałuckiego, Wilczyńskiego, Czajkowskiego, M. Pawlikowskiego raz po raz



WIOSNA

K. IPILAR

pojawiają się na praskich półkach księgarskich w tłumaczeniu Klika, Kosznara, Nečasa lub wreszcie serdecznego przyjaciela Polaków, a już szczególnie Krakowa: Szwaba-Połabskiego. Z poetów, o ile wiemy, Siemieński, Wasilewski, Asnyk i wreszcie Słowacki znajdują translatorów w p. Vondračku, Volaku, Nečasie i w doskonałym i mocnym poecie, Fr. Kvapilu. Już też i w naszej literaturze jawi się kilku świadomych przyjaciół piśmiennictwa czeskiego, jak zmarły Bronisław Grabowski, a z żyjących profesorowie Baudouin de Courtenay, Brückner i uczony spraw aryjskich, druid gaelicki, szanowny poseł kaliski Parczewski. Potężny wzrost naszej literatury, symbolizujący się w trzech nazwiskach: Sienkiewicza, Prusa i Orzeszkowej, powoduje w Czechach wzmocnienie ruchu tłumaczeniowego. Dr. Bożywoj Prussik i Krebda zaznajamiają Czechów z Reymontem, Żuławskim, Kisielewskim; p. Rácek specjalizuje się w Sieroszewskim, Tetmajera tłumaczyli p. Maternowa

(także Konopnickiej „Italia“), K. Rieger i Pawlista, Przybyszewski ma tłumaczy w p. Brzeska i Fuciku, a bardzo inteligentnego i fanatycznego propagatora i tłumacza w p. Mirosławie Kropačku. Weysenhoffa tłumaczył p. Vondraček.

Oczywiście wpływa też na niepomierne zwiększenie ilości tłumaczy z polskiego i ta okoliczność, że w Pradze istnieje prywatna szkoła nauki *specjalnie języka polskiego*, rok rocznie wypuszczając w świat przeciętnie 80 osób, mówiących dobrze po polsku!

Otóż tej rzeczywistej przyjaźni dla naszego piśmiennictwa i tej imponującej liczbie tłumaczeń z naszej literatury my przeciwstawić możemy bardzo mało. Nawet jeżeli już uwzględnimy bezsprzecznie znacznie skromniejszy stan i dynamikę literatury czeskiej, zbyt mało. Nie mówimy już o pracach krytycznych i informacyjnych. Tu broszurowy zarys prof. Zdziechowskiego p. t. „Karol Chynek Macha i byronizm czeski“ stoi prawie odosobniony.

Rzetelny przyjaciel i tłumacz poetów czeskich, M. Szukiewicz, od jakiegoś czasu milczy, jak zaklęty. Tu i owdzie bardzo sporadycznie jawią się informacyjne szkice dr. Franciszka Kręka ze Lwowa, prof. Magiery, lub rapsody krytyczne świetnego stylisty, p. Nalepińskiego. Tłumaczy się bardzo mało, i to tylko rzeczy krótkie, nowelle, coś z Jiráską, z Nerudy, Čecha, to z Arbesa lub Machara. Jedyne wyjątek stanowią dwa tomy Zeyerowe Zenona Przesmyckiego, okupujące niejako swoją wyrafinowaną doskonałością, nieskazitelnością swej polszczyzny i prawem, serdecznym ukochaniem szlachetnego romańskiego samotnika przez jedyne, dziś żyjącego pełnego reprezentanta polskiej pańskiej kultury — tę wielką krzywdę, jaka się

dzieje bratniej literaturze czeskiej przez jej całkowite z naszej strony przepomnienie. Ale to też od Przesmyckiej jak wiele innych inicjatyw i poczynań, broniących kultury zachodniej w Polsce, tak i ta wyjść powinna myśl, by się złączyło grono przyjaciół zachodniej Słowiańszczyzny u nas.

Jest nas kilkunastu może, którzy pokochaliśmy serdecznie płowego lwa czeskiego, złoty miraż królewskich Hradczan i modre lśnienia karaceńskiego ryszpunku na żarliwym rycerzu romanizmu, Zeyerze. Połączmy się w jedno kolisko pod łaskawym sceptrem przyjaciela Zeyerowego, tego, co swą wszechwiedzą uchronił młodą Polskę przed wyłącznym paryżanizmem, przed pansyonizmem, feldmanicością i utwórzmy stowarzyszenie *przyjaciół zachodnio-słowiańskiej kultury*, literatury i sztuki.

A. NOWACZYŃSKI.



BACHANALIA PODCZAS MOROWEJ ZARAZY

Autolitogr. F. JENEWEINA

Z POEZJI CZESKIEJ.

JAROSŁAW VRCHLICKI:

GIORDANO BRUNO.

Głos grzmi z mroków: „Precz w otchłanie!”
Głos grzmi z światła: „Dalej wzwyż!”
A te spory, to wołanie
Życie mija, niosąc krzyż.

Nagle wielki czyn zapala,
Świt uderzy w mrok i w cień,
Rozgoreje ludzkość cała,
I braterstwa wchodzi dzień.

Aż znów huknie walki wrzawa,
Wulkan bucha, kipi złość,
Spada maska: Bestya krwawa,
Człowiek—własną gryzie kość!

Głos grzmi z mroków: „Na łańcuchy!”
Głos grzmi z światła: „W świty zórz!”
W dół i wzwyż się kłębią duchy,
Aż i starcem jesteś już.

I osłabły zwątpisz w siebie,
W cieniu płynąc dasz swym łzom...
Aż tu nagle błysk na niebie,
W ziemię bije czynu grom.

I na światów dwóch granicy
Płomienisty świeci miecz,
Szatan strąca do ciemnicy...
— Nie! My idziem w światło precz!

Tłóm. M. KONOPNICKA.

WITOSŁAW HALEK:

Z wieczornych pieśni.

I.

Gdyby tak Pan Bóg w jednej godzinie
Miłość chciał zabrać światu?
Światby się zmienił w głuchą pustynię
Dziką—bez kwiatu.

Środkiem błdziłoby zatrwożone
Serce, od bólu schnące...
Świat byłby mroczny, jako dni one,
Nim Bóg dał słońce.

A taki smutny, że samo życie
Ludziom byłoby wrogiem;
Żeby mu nawet Bóg na błękanie
Nie chciał być Bogiem!

XXXV.

Boże! szczęście i rozkosze,
Wszystko składam ci z ochotą,
Tylko śpiew mój zostaw, proszę,
Tylko zostaw lutnię złotą.

Gdybyś na mnie zlał obficie
Łask, o jakich dusza nie śni:
Co mi szczęście, co mi życie,
Bez miłości i bez pieśni!

JULIUSZ ZEYER:

SPRAWIEDLIWOŚĆ.

Oto grzmiąc morze zwarło się czerwone,
Faraon w bezdniach, jako słońce, zgasł,
Huf jego wojów, palm wyniosłych las
I złote wozy, rumaki spienione.

Wszystko zginęło przy zórz krwawych świcie.
A w Izraelu dziki szczęścia szal,
Że ujarzmiony zwycięzcą się stał,
Że już skończone ciężkie, dawne życie!

I aniołowie uderzyli w struny;
Lecz z tronu Pana strzeliły pioruny,
I głos nakazał milczeć rzeszom sług:

„Komuż z ust śmiało pieśń radosna wzleci —
Tak w huku burzy groźnie spytał Bóg —
Gdy na dnie morskiem leżą moje dzieci?”

Tłóm. MIRIAM.

EUGENIUSZ TUPE:

PIOSNKA.

Cichy cień mnie twój oblata,
Gdy mnie zorze w gaje zwa,
Kiedy słowik nadwałtawski
Łka po rosie piosnką swą...

Cichy cień mnie twój oblata,
Gdy gra łabędź wpośród fal...
Gdy samotna gołębicą
Tęskność swoją grucha w dal...

Cichy cień mnie twój oblata,
Gdy się wzrok mój w górę rwie,
Tam, gdzie orzeł nadatrzański
Między gwiazdy dźwiga się...

Cichy cień mnie twój oblata,
Kiedy noc miesięczna śni...
Gdy szczęśliwym sen rozdaje
Skarby—niedostępne mi!

Tłóm. M. KONOPNICKA.

OTOKAR BRZEZINA:

ZAPOMNIENIE.

Nieszczerym śmiechem modry zapłonil się dzień,
Śnieg radośnie się iskrzył tęczowy i złoty,
Przestwór lotnych olejków zdał się pełen tchnień,
Żywo biło me serce i bujnie.

Na zbolałych obliczach śmiech zakwitł i mir,
Chór cementarny się zmienił w miłosne szczebioty,
Jakby echem radosnem chwiejnych dzwonów i lir
Dał świeciła dzień święta.

Był-ż to odbłask zaświata i zaświata wiew,
Co w mej duszy rozbłysnął, jak błyszczał przed
wieki?

Czyli przedślubnym dreszczem mej matki ma krew
Drgnęła we mnie rozkosznie?

To wiatr z krain milczenia nawiedził mój łan,
Niewidzialnych w nim skrzydeł czułem powiew
lekki,
A jak gdy w Gethsemanie na modłach trwał Pan,
I mnie anioł dał pić z czar tajemnych.

Tłóm. MACIEJ SZUKIEWICZ.

DWA OBRAZY BROŹIKA.

Oba obrazy mistrza teatralnego malarstwa, Waclawa Brożika, pochodzą z lat dawnych, 70 i 80-tych, z czasów, kiedy Monachium było Mekką malarzy niemieckich i słowiańskich, kiedy pokorni a liczni adepti geniuszów ściśle mieszczańskich: Pillotiego i Kaulbacha, nie przeczuwali nawet lub nie chcieli słyszeć o epokowych przemianach malarskiego widzenia i odczuwania u Anglików i Francuzów. Dlatego dwa te wielkie płótna działają dzisiaj na widza nowożytnego zgoła obojętnie i chłodno, jako wielkie anegdotyczne żywe *tableau* operowe, choć w swoim czasie, w epoce niewolniczego poddaństwa sztuki malarskiej, dawały podobno głębokie emocje, oczywiście z artystyczną odczuwalnością widza małego mającego wspólnego. Atoli nie historyczność tematyczna jest przyczyną ich



CHRISTUS (studium)

R. BEM

poza-artystyczności, jakby mnie mał niejedną mocno fanatyczny pionier tylko nowego, tylko nie komponowanego i byle brzydkiego malarstwa. Tak cały szereg angielskich i dziś żyjących malarzy, jak z Francuzów Tattgrain, Toudouze i inni, łącznie swoimi potężnymi działającymi ewokacjami, swymi legendami, wizjami historycznych momentów udowodniają, że element-temat historyczny nie tylko nie niweluje emocji artystycznych, ale je potęguje i komplikuje. Mistrza Brożika sceny dlatego są wartościami mniejszemi w dziedzinie sztuki, ponieważ fantazja czeskiego malarza nie była bynajmniej mistrzowska, ponieważ świat wieków ubiegłych był mu tylko szczupłą sceną prowincjonalnej opery i ponieważ w poprawnych jego zamalowanych prostokątach mało jest wymagalnej i nieodzownej grozy i grandezzy wielkich faktów, od których przecież zawisły losy i byty niekiedy. Wobec dynastycznej sztuki jezajaszowego psychognosty Matejki jest kunsztykarstwo mistrza Waclawa tylko bardzo nienagannie spełnianą służbą wielkiego marszałka dworu, grupującego poprawnie materyał ludzki i plamy barwne, rysującego wiernie plany architektoniczne, skrupulatnego etnografisty i fizyognomiologa.

Atoli dla nas obie te panoramy zmarłego przyjaciela Andriollego mają ważne *pretium affectionis*, i jako kulturalnych wspólnot czesko-polskich dokumenty wiekotrwale, winny znaleźć drogę do pamięci polskiej. „Hus“ zdobi Radnicę miejską w Pradze, „Tu felix Austria nube“ zakrywa ścianę całą w Burgu wiedeńskim.

Na Soborze w Konstancji dnia 6 lipca 1415. Piętnaste posiedzenie koncylium pod przewodnictwem jednego z najchytrzejszych intrygantów na tronie, najzacieklejszych wrogów polszczyzny i czeszczyzny, monomana cesarskiego, Zygmunta Luksemburczyka. Romano-germanin ten, skryty, ale stały i gorliwy przyjaciel i współpracownik teutońskiego Zakonu szpitalników Maryi Panny Bogarodzicy, siedzi w głębi katedry na tronie. Posiedzenie prowadzi cesarzo-papista, kardynał Brogni. Dokoła kardynałowie, biskupi, herzogi germańskie, zebrani celem usunięcia szyszy, detronizowania trzech równocześnie papieży, zniszczenia herezy i zaprowadzenia reform, generalnie zaś w celu skonsolidowania wszystkich żywiołów arystokratyczno-imperyalistycznej kultury germano-latińskiej wobec dwóch pierwszych symptomów budzącego się świata Chrystyanizmu słowiańskiego, t. j.: zwycięstwa Słowian połączonych pod Grunwaldem i Tannenberkiem i gwałtownego rozszerzenia się po Czechach, Morawach i Polsce demokratyczno-słowiańskiej idei Husa i jego rewizjonizmu wiary w imię Pisma i w imię rozumu.

Profesor i rektor praskiego uniwersytetu, Jan z Husiniec, wygłasza obronę swoich 44 artykułów, ufny w list żelazny króla czeskiego Waclawa. Nie przeczuwając on w tej chwili, że będzie uwięziony, w kajdany

skuty, spalony i wrzucony w Bodeńskie jezioro po złamaniu wszelkich cesarskich glejtów i listów żelaznych w myśl groźnej perfidnej doktryny romano-katolickiej: że heretykom żadnych zobowiązań się nie dotrzymuje. Rzecznikiem Krzyżaków, którzy na tem samem koncylium wytoczą proces kalumniatorski Jagielle, jest arcybiskup ryski, Jan Wallenrode, kierujący moralnie akcją antysłowiańską. Ze strony szlachty czeskiej asystują Husowi na tem koncylium Waclaw z Dubeya na Lesznie, protoplasta naszych Leszczyńskich, i Andrzej z Chłumu a na Lacemborku.

Z Polaków (wedle ostatnich kompletujących publikacji historycznych, a głównie kroniki Ulricha von Richenthal) są Janusz z Tuliszkowa, Bayard polski Zawisza z Garbowa, Andrzej Balicki z Balic, Stanisław z Wieniawy, Wincenty z Szamotuł, Piotr i Jan Sasinowie (Suzinowie?), wszyscy mocno sprzyjający husytyzmowi. Z duchowieństwa wysłani, i to właśnie w lipcu, Andrzej Laskarys z Gostawic, biskup poznański, Jakób biskup płocki, Mikołaj Trąba, arcybiskup gnieźnieński, no i wreszcie: Paweł Wołodkowiec, husów kolega, kanonista i rektor krakowskiej Almy Mater. Na tem to koncylium z poduszczenia jądra teutońskiego zakonu pomiędzy 150,000 przybyłych widzów i pielgrzymów i przeszło 24,000 duchownych rozrzucają mnichy niemieckie mnóstwo pamfletów przeciw Polakom, jako heretykom, przeciw Czechom, Jagielle i groźącemu unarodowieniu kościoła i rytuału w Polsce i Czechach. I aczkolwiek ostatecznie zwycięży tutaj hegemonia samowładca imperium germańskiego (przy pewnym tylko zachowaniu prymatu papieskiego), aczkolwiek nawet właśnie polski biskup Laskaris ogłosi potem imieniem soboru dekret, potępiający Husa i Wicklefa i ich zwolenników, aczkolwiek stanowisko tak polskich dygnitarzy kościelnych, jak i rektora Almae Matris, będzie ściśle kościelnym, to jednakże momentem najważniejszym, niosącym w sobie zarodki jutra, wielkiego jutra (które może przypaść aż w wieku XX), będzie w tym soborze *spólny protest świeckich panów polskich* przeciw nikczemnej zbrodni politycznego skrytobójstwa, na osobie Husa, demokracji i Słowianina, dokonanej. Drugim zaś momentem: tegoż samego rektora Włodkowica poprzedniego dnia 5 lipca odczytany traktat: „De potestate Papae,” *pierwszy protest słowiański przeciw imperyalistycznej światowładczej monomanii książąt z ras teutońskich*. Trzecim momentem wreszcie: praskiego teologa Maurycego Rzaczkę dzielna *obrona polskiej polityki Jagielleńskiej* wobec bestyalizmu wojskowego i megalomaniackich uroszczeń awanturniczych raubritterów imienia Maryi Panny Bogarodzicy.

Na tym to soborze dn'a 6-go lipca poganim dwóch ras rządzących wykonywa pierwszy udany

moralny zamach na słowiańską koncepcję *chrystyaniczną* *).

Obraz II-gi. W krągłe sto lat później w katedrze świętego Szczepana w Wiedniu idee bohatera poprzedniego obrazu, największego obok Kopernika Słowianina średnich wieków, zaanektowane po krzyżacku i usystemizowane po niemiecku przez mnicha Lutra, tam na północy rozkrzewiają się i rozrastają, tworząc mocne podglebie nowej wraźej potęgi germańsko-brandeburskiej. Nikczemny, chytry i szachrujący spryt cesarza Zygmunta inkarnuje się w protestanckiej dynastii wysługujących się i psio pokornych niegdyś, a pluskwio rozdronzonych burgrabów norymberskich.

Jest tak samo lipiec, ale dnia 22. Sprytnie obmyślany mariaż ma wielce biednej, ale mocno suweryńsko się czującej rodzinie hrabiów z Habsburga przysporzyć dwa narody, dwie jednostki etnicz-

ne, dwa państwa: Czechy i Węgry. Słowiańska dynastia, a płaci koszty rakuskiego zaszczytu i wielkiego splendoru młodszej, skromniutkiej linii Habsburgów. Katedra pełna kurfurstów i marchionów Imperium. Twarze wyzywające, pewne siebie, tryumfujące. Przeczuwają przyszłą hegemonię germańskiego elementu w Europie. Cesarz Maksymilian I klęczy u pulpitu, a przy nim ta mała, biedna, nieświadoma Anusia Jagiellewiczówna, którą cesarz poślubia w imieniu swego wnuczka Ferdynanda. Ta Anusia to późniejsza uczona, światła autorka łacińskiej książki: „Clypeus pietatis,” mieszkanka Pragi, której „Ietohradek,” pałacyk letni, dziś się nad Wełtawą jeszcze pokazuje.

Małą parkę drugą: wnuczki cesarza (arcyksiężniczki Maryi), córki Filipa hiszpańskiego, i synka Władysława króla, Ludwika, błogosławi kardynał Tomasz Bakacz. Te dwa dzieciaki ze krwi Jagielleńskiej, te dwa piaseczki ludzkie, rozmyślnie tak przedwczesnie poślubione sobie symbolicznie w asystencji wszystkich parów Imperium germańskiego, ufundują potęgę tej rodziny, która, pierwsza otrzymawszy poprzód rozgrzeszenie od Jezuitów wiedeńskich, da zaborem Spiżu umówione hasło do rozdzielenia puścizny Jagielleńskiej między trzy monarchie.

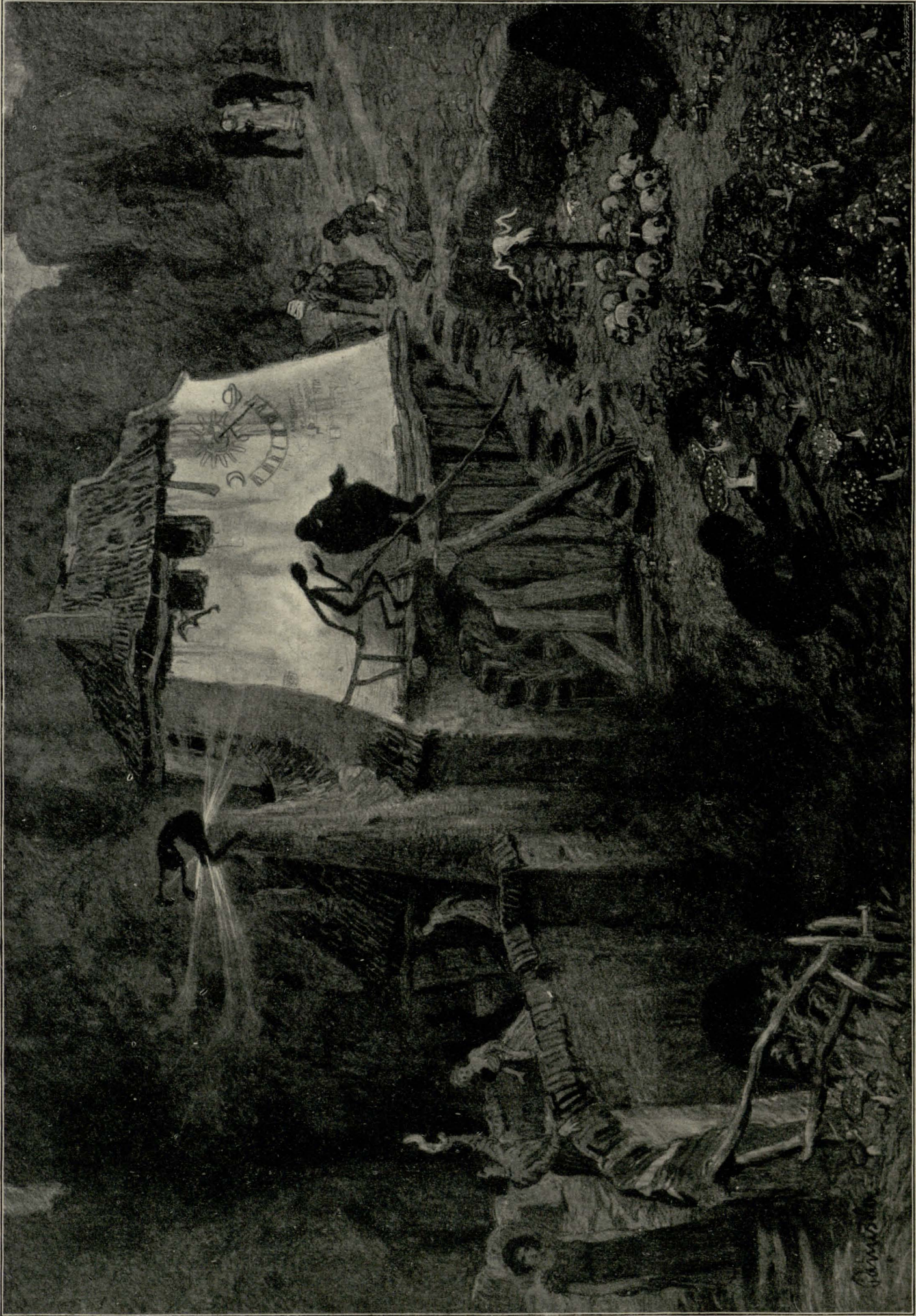
I oto stoją tuż za cesarzem i świadkują tej scenie ciężkiej w fatalne dla Polski następstwa król Zygmunt Stary, a obok niego syn Władysław, Medycus czeski, cały w bieli, w gronostajach, z książką zawsze w dłoniach, esteta, artysta, a polityczny ślepiec. Z Polaków na obrazie są: Tomicki, biskup poznański i kanclerz, jest Firlej, wszechwładny kochanek Bony i sandomierski wojewoda, jest biskup przemyski. Ten to mały Ludwiczek Jagielleńczyk za lat jedenaście poległ w obronie Węgrów przed Turkami, pod Mochaczem. Wtedy, choć mądre Madziarony ofiarują koronę Zygmuntovi Staremu, ten ją odrzucił nierozsądnie, a jak poprzód Czechy, tak teraz i Węgry, zagarnie dla katolicko-germańskiej dynastii Ferdynand Habsburg. *Quidquid delirant reges, plectuntur Achiwi*. Tyś szczęśliwa, Austro, żeń się jeno bogato.

Dwa te obrazy Waclawa Brożika (z których drugi znacznie tęższy od pierwszego) symbolizują w sposób zresztą słaby i zgoła n etragiczny dwa fatalne momenty z dziejów zachodniej Słowiańszczyzny, a dzięki którym głównie tak Czesi, jak i my, jak i cała Słowiańszczyzna. wysługiwać się musi Teutonowi i teutońskiemu suwerynom.

Dziś te momenty historyczne dojrzały już do innego tragicznej monumentalnego traktowania, niż tego tego był zdolen w swych żywych obrazach lojalny Rakuszanie, Ritter von Brożik.

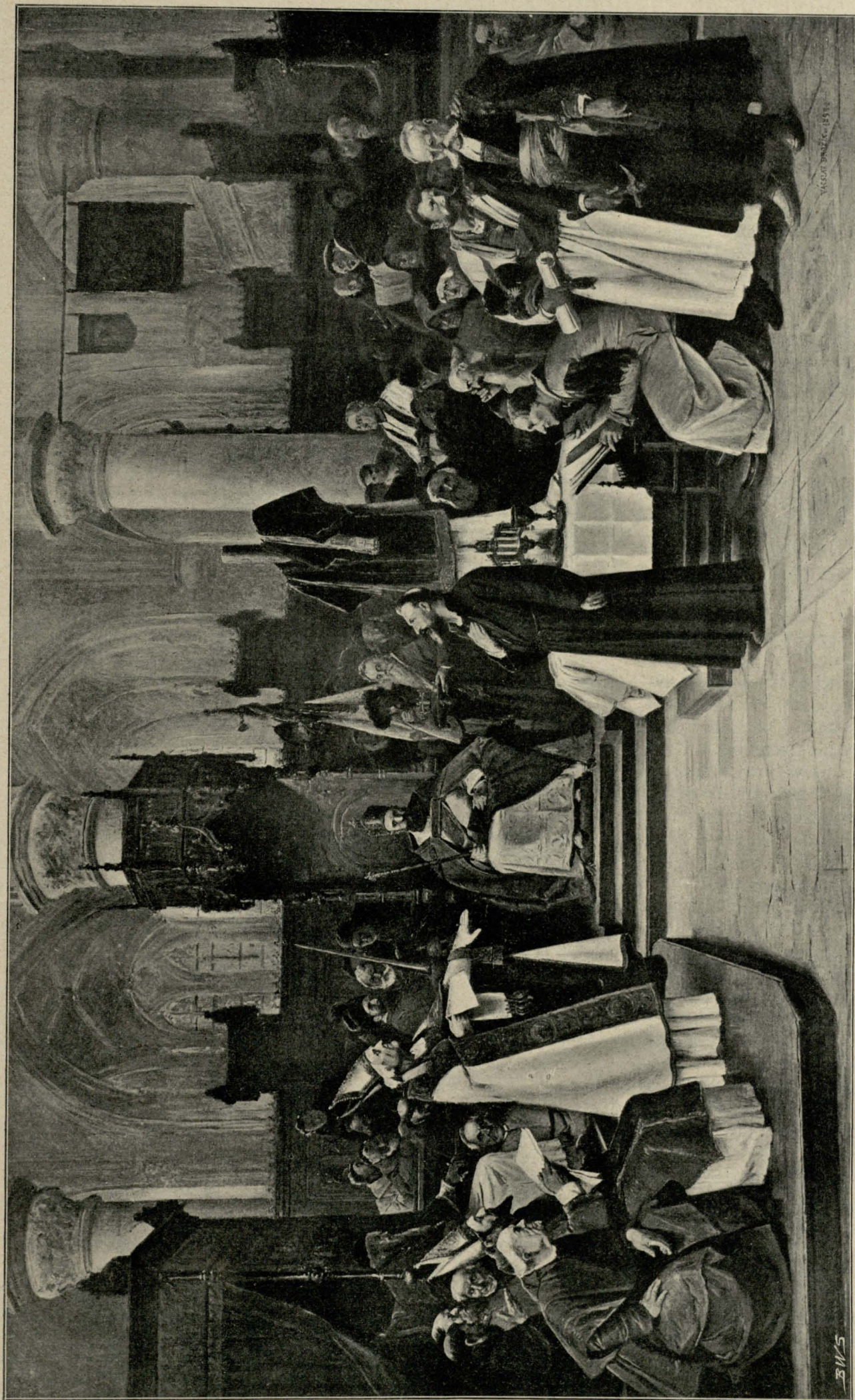
A. N.

*) Patrz: Palacký, Ulanowski, Prohazka.



MŁYN ZACZAROWANY

JAROSŁAW PANUŠKA



MISTRZ JAN HUS PRZED SĄDEM, NA SOBORZE KONSTANCYENSKIM

WACŁAW BROŹIK

O NAJNOWSZEJ LITERATURZE CZESKIEJ.

Trudno, trudno pisać o literaturze czeskiej w Polsce, trudniej, niż o skandynawskiej lub „Młodej Belgii...“ Niema tak nieznacznego ruchu literackiego, aby był pozbawiony jakiejś uchwytniej przyczyny, leżącej w warunkach życia danego narodu, aby nie posiadał jakiejś tradycji i nie zdążył do jakiegoś celu. Kto nie widzi tych przyczyn, nie jest w stanie pojąć fazy rozwoju, nie może zdać sobie sprawy z kierunku, z wypadkowej tych najróżniejszych sił składowych, inaczej mówiąc, z idei przewodniej.

A przecież studium literatury czeskiej nie byłoby w Polsce rzeczą zbyt trudną. Tłómaczeń posiadamy stosunkowo dość dużo. Prawda, tłómaczenia te są rozproszone po najrozmaitszych wydawnictwach, wydawane były bez planu i bez żadnej przewodniej idei...

Dla szczupłości miejsca pominąć muszę martwych *Nerude*, *Zeyera* i *Sw. Czecha*. Dziś trzeba ich szukać w krwi narodu czeskiego, bo o nich mówią już nie tylko ich książki, ale i czyny, które z nich powstały. Pominąć muszę i tych, którzy „jeszcze pracują, jak pracowali dawniej“ (*Jirásek*, *Vrchlicky*), przyszły nowe czasy, a z nimi i nowi ludzie.

Na pierwszym miejscu stawiam *Machara*. Wielki artysta?—Być może, ale są w Czechach więksi. Myśliciel?—Owszem, poniekąd, ale bynajmniej nie nieomylny. Zgodzę się i na to, że bywa jednostronnym, a nawet stronnikiem. Przedewszystkiem jednak jest to *temperament*, człowiek, przekipujący energią życiową, człowiek, który wciąż walczy nie tylko we własnej obronie, ale szuka także wroga, umie go znaleźć, szuka silnych wrogów. Młodzi jego zwolennicy (większość młodzieży) mówią, „że Machar lubi się kłócić.“ Nie, on lubi walczyć. I ma wielki rozmach w garści, dużo odwagi, a to jest zawsze sympatyczne.

Charakterem swej twórczości zbliża się Machar do tak zwanych „realistów“. Można by nazwać ich „wytrzeźwionymi.“ Ogólnie mówiąc, powołała ich do życia walka o sfałszowane rękopisy Hanki i bankructwo polityki młodoczeskiej. Są to sceptycy, pełni ironii i sarkazmu, są to ludzie, dla których obalenie bałwanów stało się potrzebą życia, nawiązką młodości.

Główny punkt ciężkości twórczości literackiej Machara leży w jego fejletonach i epigramach. Prace jego, nieraz agitacyjne, zawsze aktualne, niejednokrotnie tracą swą linię artystyczną. Ale dla Machara sztuka jest tylko środkiem. Jest to urodzony satyryk. O jego walce życiowej i stosunkach literackich w Czechach mówi dużo jego bardzo zajmujący pamiętnik: „Spowiedź literata.“ Przetłóma-



PLYTA GROBOWA

ST. SUCHARD

czenie tej książki na język polski byłoby rzeczą bardzo pożyteczną, tak ze względu na jej niezaprzeczoną wartość artystyczną, jak i dlatego, że ułatwia ona w sposób wprawdzie poniekąd jednostronny, ale bezwarunkowo najprostszy poznanie „wewnętrznych“ ruchów i walk literackich w Czechach. Jestem przekonany, że książka ta miałaby dla społeczeństwa polskiego większe znaczenie, niż wyda-

nie jakiegoś niedokładnego, powierzchownego, a przytem *kompromisowego* zarysu literatury czeskiej. Nadmienić należy, że wpływ Machara na najmłodsze pokolenie jest ogromny.

Krótko mówiąc, Machar nie tylko trzyma dłoń na pulsie życia narodowego, ale umie zwiększyć szybkość jego tętna.

Ten obóz literacki—jako taki, nieliczny—nie miał jeszcze do niedawna swego organu. Dziś jest nim, poczęści przynajmniej, pismo literackie *Nowina*, redagowane przez poetę, a przedewszystkiem znakomitego krytyka, F. X. Szaldę. Grupują się koło niego autorowie, różniący się od Machara charakterem swej twórczości, ale sympatyzujący z nim lub z jego ideami. Wymienić tu należy *Antonina Sowę*, *Rużeną Swobodową*, autorkę młodą i bardzo utalentowaną, *Herbena*, nowelistę i dziennikarza, *F. X. Swobodę* i w. in.

Główne „gros“ młodych literatów grupuje się około *Lumira*, tygodnika literackiego, a po części i około *Maju*. Jeśli może nie na pierwszym miejscu, to w każdym razie w pierwszym szeregu stoi tu *Wiktor Dyk*. Wypiera się dziś Machara, niemniej przeto w niejednym jest jego uczniem. Również satyryk, również autor bardzo „kolczastych“ epigramów i również człowiek, „który się lubi kłócić.“ Dyk jest dobrym nowelistą; mniejsze szczęście ma na scenie, choć jako autor dramatyczny jest nie bez talentu.

To są słusznie tak nazwane „Kämpfende Kräfte.“ Jeśli walka nie jest celem rozwoju, to jest jego procesem, a w każdym razie dobrze świadczy o pełni sił żywotnych.

Wogóle satyra i polemika należą do wybitnych cech młodej literatury czeskiej. Machar, Dyk, czasem Sowa, nieraz Stanisław Neumann, Saldza, Horky, Losztiak i wielu, wielu innych, wszystko to kipi jakąś przedziwną chęcią walki, oburzeniem, sarkazmem, ironią, gniewem lub nawet pogardą. Czego to dowodzi? Czyżby tak strasznie źle było w Czechach?—Ach, nie, to tylko młodość! Młoda literatura czeska jest naprawdę młoda, chce za każdą cenę „poprawić świat,“ rwie się do życia, do którego wnosi nowe ideały, nowe siły i słuszne hasło: *l'avenir est pour moi!*

Trzeba to zrozumieć. Minęły czasy Tyłów, Puchmajerów, Wocelów i Chochołowców,

tych starych, a przeważnie i szarych, nudnych panów, którzy, niezmordowanie pisząc, za każdą cenę chcieli „zrobić“ literaturę czeską i czeski język literacki. Minęły czasy *Zeyera*, który ku wiecznej pamięci utrwał w swych dziełach konającą, a dziś już w gruzach leżącą Starą Pragę. Skończyła się epoka



Antoni Sowa.



I. S. Machar.



Jerzy Karasek.

wychowania literackiego, dokonanego pod okiem takich nauczycieli, jak Neruda, Czech i Jirásek. Vrchlicky, a przedtem i Zeyer, wykazali zupełną doskonałość czeskiego literackiego języka; zwłaszcza Vrchlicky dowiódł, że język ten potrafi się nagiąć do wszystkich form, poczynając od włoskich „rispetti,” francuskich „rondes,” a skończywszy na dźwięcznym wierszu Verlaine'a. Nieznużeni tłumacze wzbogacili i wzbogacają literaturę czeską ciągle przekładami ze wszystkich języków światowych. Jak ma się wyczerpać ta nagromadzona energia żywotna, to bogactwo obrazów, doświadczenia, refleksyi i idei? Przedewszystkiem walką, rozdawaniem ciosów na lewo i prawo, boć tu potrzeba więcej miejsca do rozmachu, powietrza, przestrzeni! Ergo „hrrr!” na wrogów, a tych sobie młodość zawsze znajdzie.

Druga przyczyna leży w niestosunkowo powolnym rozwoju politycznym narodu. Bój z niemieckim żywiołem jest nie tylko ciężki, ale—jak i my dobrze o tem wiemy—demoralizujący nawet. Jest to bój z cynizmem, brutalną przemocą, bezprawiem i rafinowaną chytrą, gdzie nawet zwycięstwo plami. Aby uniknąć klęski, trzeba się wmyślać w najniemoralniejszą przewrotność, trzeba zapominać o wszystkim, co ludzkie i etyczne. To jest najgorsza strona tej walki. Gorycz, sceptycyzm i pogarda—oto rany, jakie się z niej wynosi. Sądźcie, że taki rok 1908, który przyniósł Czechom porażkę w sprawie uniwersytetu w Bernie i prowokacyjną obelgę Wiednia, może pozwolić spokojnie pracować poecie nad przedsięwzięciem dziełem artystycznym, że nie wzburzy jego serca, wrażliwszego przecieź i szerszego od innych, że zamiast harmonijnej pieśni nie wyrwie na jego usta przekleństwa lub okrzyku wściekłości i bólu?

Wszystko się zmieniło. Książek czeskich nie potrzeba szerzyć za pośrednictwem gorących „właściców“ (patriotów), jak to było za czasów dobrego Krameriusa, na początku XIX wieku; dramat czeski przeprowadził się z „budy“ do licznych i pięknych gmachów teatralnych; jest już sztuka, wspaniała muzyka, wszystko—a przecieź satyra polityczna syczy wciąż i zgrzyta zębami, jak w 48 roku, jak za czasów Bacha i reakcyi i genialnego Havliczka Borowskiego, jej niedoścignionego twórcy w Czechach.

Havliczek jest ojcem czeskiej satyry politycznej, „realizmu“, ale i krytyki czeskiej. Prócz Szaldy, Wodaka, wymienić tu muszę F. V. Krejczy'ego, znakomitego znawcę i popularyzatora (w dobrem znaczeniu tego słowa) sztuki i literatury. Krejczy stoi na czele „Akademii robotniczej“. W krytyce zajmuje bardzo krańcowe, wyraźne a wybitne miejsce. Jest to „modernista“, sądzący sztukę i literaturę z punktu widzenia „dnia dzisiejszego“, że tak powiem. Nie uznaje tradycyi (aczkolwiek ją widzi), fantastyczności, dąży do ścisłego realizmu, zapatrywania swoje, niezwykle interesujące, bijące nieraz w oczy swą logiką i oryginalnością, streścił w estetycznej rozprawce p. t. „Sen nowej kultury.“

Z kolei wspomnieć muszę o znacznym rozwoju literatury ludowej. W Czechach stoi



BRZOZY

ALOIS KALVODA

ona najwyżej ze wszystkich ziem słowiańskich, znacznie wyżej, niż we Francyi, a może i w Niemczech. Leży to w demokratycznym usposobieniu Czech. „Artyści“ patrzą na tę literaturę bardzo z góry, zapominając, że jest ona znacznie uczciwsza, niż wszystkie Gypy, Margueritte, Willy et consortes, i znacznie pożyteczniejsza, niż wszystkie „Briefe die ihn nicht erreichten“ i inne brednie różnych Tovotte'ów, Spielhagenów i innych fabrykantów „Leihbibliothekenfuttru“. Po tak znakomitych autorach ludowych, jak Bożena Niemcowa, Trzebizsky, nic dziwnego, że mogła się wytworzyć cała szkoła, w której Reis, Bahr, Szimaczek, Stech i Kronbauer niepoślednie zajmują miejsce.

Daleko poza tym ruchem stoi obóz „młodych“, tych najwięcej „modern“ między modernistami. Dawniej nazwanoby ich u nas „dekadentami.“ Organem ich jest *Moderni Revue*, pismo, które pod niektórymi względami chciałoby być pokrewne z *Chimerą*. Zbliża je do niej przedewszystkiem eklektyzm kierownika, p. Ernesta Prochaski, niezaprzeczenie świetnego znawcy najnowszej literatury europejskiej i krytyka. Eklektyzm jego jest o tyle



Hanna Kvapilowa.
Znakomita artystka Teatru Narodowego w Pradze.

zbliżony do eklektyzmu Przesmyckiego, że, jak i on, kieruje się p. Prochaska jedynie swem upodobaniem, nie oglądając się bynajmniej na to, czy rzeczy, podawane przez niego czytelnikowi, choć bez wątpienia wysokiej wartości estetycznej, są mu również dostępne i strawne. Jakkolwiek jednak rzeczy się mają, choć można by powiedzieć, że *Moderni Revue* jest przesadnie nieprzejednana, to jednak stwierdzić należy, że pismo to, wydawane w bardzo ciężkich warunkach, nie uznawane i konsekwentnie nie doceniane przez inteligencję, z podziwu godnym stoicyzmem i obojętnością na powodzenie, wytrwało i trwa wciąż na swoim trudnym stanowisku. W *Moderni Revue* zawsze znaleźli schronienie nie uznani lub prześladowani, z *Moderni Revue* wyszli też liczni, bardzo zdolni poeci. Tak pismo to ujęło się za niezwykle utalentowanym poetą i malarzem, *Hlawaczkim*, niemniej utalentowanym *Karolem Tomanem*, nie zrozumianym *Brzezina*

i samotnym, nieraz nawet zapomnianym *Karaskiem*. Nie ulega wątpiwości, że *Moderni Revue*, mimo swój poniekąd rafinowany nastrój i—co może najwięcej w Pradze razi—napół francuski styl swych artykułów, w sprawach sztuki jest trybuną najsprawiedliwszą i najbezsronniejszą, a przytem wysoce kulturalną. Krytycy, jak *Prochaska*, *Karasek* i *Marten*, uczeni i ściśli erudyci, mogliby przynieść zaszczyt najlepszym francuskim pismom krytycznym. Ongi należeli do tego obozu *Dyk*, *Jar. Hilbert*, *Jozef Holy* i w. in. Są to przeważnie samotnicy. Sowa np., indywidualność bardzo wyraźna, pełna niezwyklego wyczulenia, miękkości i smaku artystycznego, ma przynajmniej uznanie i dużo, dużo czytelników. Mało się o nim mówi, mało pisze, ale dużo czyta. *Brzezina*, znany u nas z kilku krótkich poematów, ogłoszonych w *Chimerze*, jest, jak się to mówi, „mystykiem“, znaczy to, że po swojemu rozumie słowa i, nie poprzestając jedynie na znaczeniu, przyznaniem im konwenansem, operuje zawartą w nich treścią uczuciową. Trudno się czyta takie rzeczy, z uczuciem czytać je trzeba. Jerzy Karasek ze Lwovic, poeta półcieniów i półstylów, zdaje się jeszcze tkwić, jak Zeyer, w przedziwnym nastroju Starej Pragi i obumierającej kultury. Zdawałoby się tedy, że to epigon, gdyby nie świadczyła przeciw temu jego wielka twórcza siła, jego oryginalna, zupełnie odmiennie od innych czująca dusza, a przedewszystkiem jego wielka sztuka. Z artystów czeskich dziś najprzedniejszy autor przedziwnego „Księcia melancholijnego“ i „Bożego Narodzenia w Graeciu“, jest Karasek poetą wielkim, rafinowanym, jak Wilde, lecz nie jak Wilde sztuczny i zimny.

Poprzestaję na tem, bo, im więcej piszę, tem więcej spostrzegam luk w mym artykule, który i tak już przekroczył wymierzone mi granice. Z informacyjnego artykułu nie pozna czytelnik literatury, jak nikt nie zwiedzi galerii jedynie zapomocą katalogu. Trzeba widzieć, trzeba czytać.

JERZY BANDROWSKI.

Praga Czeska, 2 sierpnia 1908 r.



Franciszek Palacký.



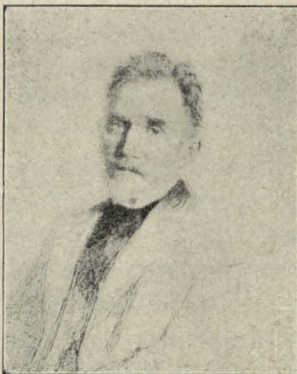
Józef Jungmann.



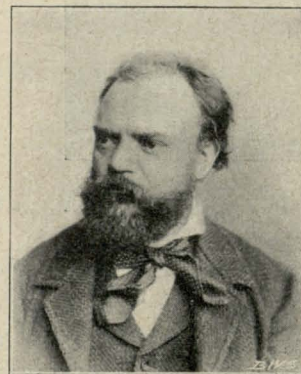
Bożena Niemcowa.



Swatopluk Czech.



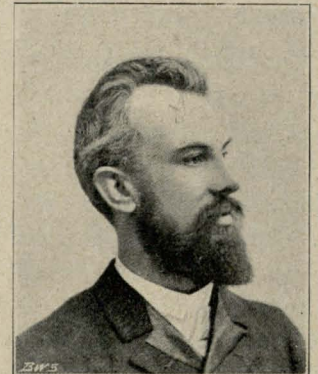
Julian Zeyer.



Antoni Dworzak.



Fryderyk Smetana.



Edward Jelínek.

NAJNOWSZA MUZYKA CZESKA.

Pierwszy maj 1904 roku zamyka bohaterską epokę muzyki czeskiej—umarł *Antonín Dvořák*, ostatni z świetnej trójcy (Smetana, Dvořák, Fibich); w wydobytych z najgłębszych tajni ducha dźwiękach wielkich mistrzów tonów streścił się duch narodu. Ich pieśń z dogorywających popiołów dawnych ognisk, przez długie stulecia tłumionych huraganem burz, znowu wykrzesala pyszne, olśniewające płomienie żywego ognia. Bicie serca swej ziemi, radosne lub melancholijne, wcielił i rozproszadził *Fryderyk Smetana* w artystycznych dziełach wiecznego piękna. *Antonín Dvořák*, o dziecinnie naiwnej duszy, rozśpiewanej nieskończoną melodią, mistrz instrumentacji, przemawia do świata formą klasycznej symfonii, którą obleka w rytm Słowiańszczyzny i Nowego Świata. *Zdeněk*, wielki, a niedoceniony, zadumany, skoncentrowany w sobie, otwiera czeskiej muzyce nowe horyzonty i przepaja ją żarem swej wielkiej namiętności. Dzięki tej trójcy jej dziełom stanęli Czesi między najmuzykalniejszymi narodami.

Między wielką ilością współczesnych kompozytorów czeskich — a jest ich długi szereg—odznacza się kilku, dźwigając, jak owi napoleońscy żołnierze, w tornistrach butawy marszałkowskie. Takim kompozytorem wielkiej inteligencji i szerokich poglądów, duchem nawskroś „modern“ i głęboko odczuwającym jest *J. B. Foerster* (ur. 1859). Opery jego („Debora“, „Ewa“, „Jessyka“) odznaczają się rytmem dramatycznym, psychologicznym opracowaniem orkiestracji i gorącą liryką. Także i jego symfonie, jako też i suity, pełne są refleksji, połączonej z jakąś melancholijną przymieszką. Wielkie napozór powodzenie zdobył *Karol Weis* (ur. r. 1862) swą operą „Polski Żyd“, która na drugi plan usunęła nie mniej udatne dawniejsze prace tego doskonałego harmonizatora pieśni ludowych: operę „Violę“, symfonię C-moll i symfoniczny poemat p. t. „Helios i Selene.“ Obie nowsze opery tego twórcy („obrazonego“ przez główną czeską scenę), „Die Dorfmusikanten“ i „Revisor“, zdobyły sobie prawo obywatelstwa na scenach niemieckich. Nie mniejszem powodzeniem cieszył się balet *Oskara Nedbala* (nar. 1874) p. t. „Bajka o głupim Jasiu.“ Znany w Polsce, jako dy-

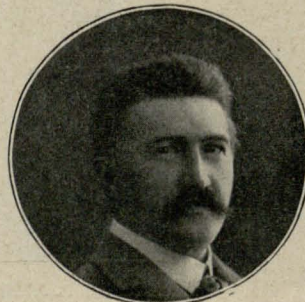
rygent, wraz z *Karolem Kowarzewicem* reprezentuje w młodej drużynie kompozytorów czeskich starszy poniekąd kierunek — zachodnio-europejski, podobnie jak w Rosyi Czajkowskij. Kompozycje jego odznaczają się doskonałością formy, dystynkcyą, pięknoscią i dowcipem; znać na nich niezaprzeczone wpływy romańskie, przetrawione oryginalnym, ale cięższym duchem.

Pozornym eklektyzmem zbliża się do niego *Karol Kowarzewic* (nar. 1862), dyrektor opery „Narodního divadla.“ Formalną sensację w czeskim świecie muzykalnym, kończącą się nieraz entuzjastycznymi dytyrambami, wywołuje każda jego nowa produkcja artystyczna. Ten niezaprzeczenie pierwszy czeski dyrygent niepoślednie miejsce zajmuje między czeskimi kompozytorami dramatycznymi. Niestychane powodzenie zyskała jego opera „Psohlawcy“, której temat zaczerpnął z historii czeskich Chodów i naczelnika ich, Kozimy (Chodowie byli aż do wieku XVIII na pograniczu bawarskiem strażą graniczną. Na sztandarze mieli psią głowę—stąd nazwa „Psohlawcy“). Jestem pewien, że i na polskich scenach spotkałoby się ze zrozumieniem i słuszną oceną to dzieło, ogromnie bogate w inwencyę, barwne, a głównie nie pozbawione dużego dramatycznego napięcia. Nie ustępuje mu pod względem wartości muzycznej druga opera Kowarzewica, p. t. „Na starym Bielidle“; akcja jej wzięta jest z właśnie przełożonej na język polski „Babuni“ Bożeny Niemcowej.

Witiezslaw Nowak (nar. 1870) i *Józef Suk*



Witiezslaw Nowak.



Józef Suk.

(ur. r. 1874), obaj kompozytorowie wielkiej kultury artystycznej, nie spierając się nigdy między sobą o pierwszeństwo, stoją dziś na czele najmłodszej generacji muzycznej, przodując [głównie kompozycjami kameralnymi i symfonicznymi. Pod względem oryginalności i temperamentu ma pierwszy z nich przewagę nad drugim, ustępuje mu jednak co się tyczy spokoju, ścisłości wyrażania się i zrównoważenia. Można skonstatować u Nowaka ciągły rozwój; w kompozycjach swoich, doprowadzonych pod względem formy do ostatecznej doskonałości (np. „Tatry“), używa całego wyrafinowania nowoczesnej harmonii i subtelności kontrapunktycznej („Trio w tonie balladowym“). Nie jest to jednak pusta gonitwa za wirtuozowskim efektem, bo kompozycje jego brzmią potężnym uczuciem, pełne nowych nastrojów, z których bije istny czar.

Kto widział Suka, jako drugiego skrzypka, siedzącego skromnie za swoim pulpitem w „Czeskim kwartecie“, ma wrażenie, jakoby on za podrzędną swą pracę uważał swoją kompozycję, aczkolwiek jest mistrzem wielkiej formy orkiestralnej. Jego potężna inwencya i olśniewająca fantazyja zawarła swój wyraz głównie w dwóch dziełach. Są to: poemat symfoniczny „Praga“ i monumentalna symfonia „Azrael“, muzyczne epitafium na grób Dvořaka, największe dzieło dzisiejszej muzyki czeskiej. Obu tymi utworami, pełnymi męskiej siły i powagi, zbliża się Suk do swego mistrza, Antonína Dvořaka, nie jako epigon, niewolniczo kroczący śladami geniusza, ale jako indywidualność samodzielna, zamknięta w sobie.

Prócz tych wybitniejszych nazwisk wymienić mógłbym jeszcze wielu innych młodszych kompozytorów, jeśli nie zawsze zupełnie dojrzałych, to w każdym razie zajmujących (Ostrčil i Moor). Nie wystarcza na to zakres małego informacyjnego artykułu, a ostatecznie nie z piśm powinny mówić dzieła i czyny kompozytorów, ale z koncertowego podium.

Jest przecie w Warszawie polska Filharmonia...

MIROSLAW KROPACZEK.

Praga, 1 sierpnia 1908 r.

— Słusznie!... Więc woli pani pana Klemensa?...

— Z pewnością!... On, równie dobrze jak i ja, rozumie, że przedewszystkiem trzeba nauczyć lud czytać i pisać. Bo tam, gdzie napęniają się szkoły, pustoszeją więzienia...

— Naprzykład, w naszym kochanym mieście X... są cztery szkoły średnie męskie, trzy żeńskie, z dziesięć elementarnych i... więzienie przepełnione...

— Winszuję!...—przerwała mu Jadwiga.—Zaczyna pan mówić, jak Dębowski...

Na tem przerwała się już nieco drażliwa pogadanka, a Świrski, ochłoniwszy, pomyślał:

„I cóż się stanie z mojem wojskiem, jeżeli szlachta będzie musiała uciekać, albo walczyć przeciw własnym parobkom, których podniecają praktykanci fabryczni, albo wędrowni agitatorowie?!“

Na pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia nie przyjechał nikt z gości; Linowska po obiedzie położyła się, a Jadwiga czytała jej książkę. Około ósmej wieczorem zjawił się gajowy najbliższego posterunku, zmęczony i wylekniiony, z zawiadomieniem, że—jakaś banda napadła go, zabrała mu rewolwer, dubeltówkę i nawet trzy ruble.

— Cóż to za ludzie?... — zapytała Linowska.

Gajowy rozłożył ręce i, spojrzawszy przelotnie na Świrskiego, odparł:

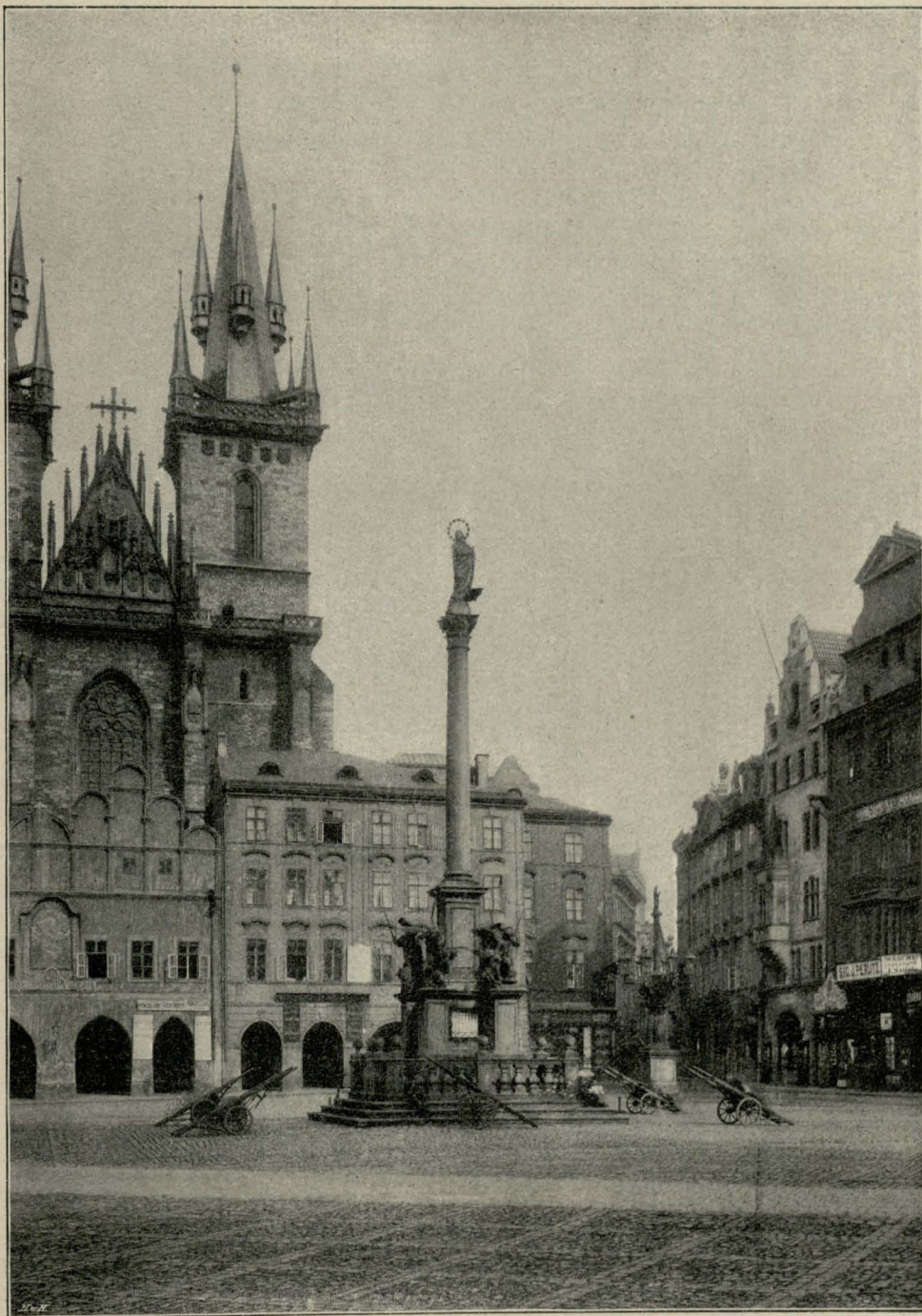
— Byli różni: jakby robociarze i jakby z miasta... Ale było też kilku niby paniczów... Nawet trzymali się z pańska i gadałi po pańsku...

Świrski drgnął. A może to?... Wyszedł do sieni za gajowym i, podając mu trzyrublowy papierek, rzekł:

— Weźcie, pocziwy człowieku... Sumienia niema ten, który obdarłby takiego, jak wy, biedaka...

— A mówili, że tylko panom będą zabierać!...—mruknął gajowy, całując Kazimierza w rękę.

Nazajutrz znowu nikt nie przyjechał do Leśniczówki. Świrski z paniami widział się tylko przy obiedzie, cały zaś dzień spędził na czytaniu „Ogniem i Mieczem“. Niekiedy



Plac Starego miasta z kolumną Maryańską i widokiem kościoła Tynieckiego w Pradze.

machinalnie odkładał książkę i mówił do siebie:

— Kogo ten gajowus nazywał paniczami?... Rozumiem, że wzięli mu broń, choć i za nią powinni byli zapłacić... Ale trzy ruble!... Rewolucyoniści, którzy gajowemu zabierają trzy ruble!... No, ani Chrzanowski, ani Lisowski nie pozwoliliby na nic podobnego, więc owi panicze nie byli naszymi kolegami... Ależ ci rewolucyoniści, którzy nie gardzą trzema rublami od gajowego!...

Na drugi dzień po świątach przyjechało na Leśniczówkę aż pięciu gajowych z wiadomościami naprawdę niezwykłymi. Przedewszystkiem u każdego z nich, w czasie świąt, była jakaś banda, licząca kilkunastu ludzi, uzbrojona, jakby wymusztrowana i—zabierała dubeltówki, rewolwery, proch i naboje. W każdej bandzie zauważono młodych ludzi, wyglądających na paniczów, którzy tłómaczyli gajowym, że ich broń potrzebna jest rewolucyoniście. Pieniądzy nie

zabierali nikomu; gromadzili się na głos świstawek albo trąbek i, uszykowawszy się we dwójki, znikali wśród drzew i zarośli.

Oprócz tych, gajowi przynieśli jeszcze gorsze wieści. Począwszy od wigilii, przez dwa dni świąt jacyś ludzie zajeżdżali do lasu sankami i zabierali drzewo, stojące w sągach; albo przeznaczone na budulec. W jednym zaś miejscu ścięli sześć wspaniałych modrzewiów i wywieźli niewiadomo którędy i dokąd.

— Przepraszam was, mój Słowiku—odezwała się Linowska—ale o tem, dokąd wywieźli modrzewie, powinniście wiedzieć. Cóż to—zginęły ślady?...

— Ślady zatarły się na szosie—odparł gajowy—ale i sam pan podleśny nie prawowałby się z gromadą, gdzie prawie każdy miał dubeltówkę albo sztucer... Wreszcie zapowiedzieli, ażeby ich nie śledzić, bo inaczej... kula w łeb!...

Kilka następnych dni upłynęły w Leśniczówce cicho; Linowska powoli zaczęła wracać do zajęć gospodarskich, panna Jadwiga pomagała jej, a wieczorami urządziła wykłady dla służby. Świrski miał dużo czasu, to też nudził się

bardziej, aniżeli przed świątami. Stracił gust do powieści wojennych i ochotę do spacerów, las bowiem przypominał mu jego marzenia, obrazy marszów, bitew i tryumfów, które w tych dniach uległy jakiejś zmianie: wyblakły, pękały, topniały, jak lód na słońcu.

Bo i jak tu myśleć o utworzeniu armii w kraju, gdzie między inteligencją a klasami pracującymi istnieje nieufność i nienawiść?... Skąd wziąć pieniędzy na porządną wojnę tam, gdzie ustaje wszelka praca?...

A jednak te bandy, zabierające broń gajowym, czy nie świadczą o wzmaganiu się ruchu rewolucyjnego?... A ci „panicze“—nie jestże to młodzież inteligentna, która, pomimo zimy, śpieszy do szeregów?... Oczywiście, zapewniono ich o blizkim wybuchu rewolucji w Rosyi...

Tylko... należeć do podobnej bandy, która—tymczasem—rozbija monopole, a chłopom rabuje trzyrubłówki, do takiej bandy należeć Kazimierz dzisiaj już nie miał ochoty.

ty. On chciał walczyć w armii regularnej, która stacza decydujące bitwy, nie zaś potyczki, podobne do rozbojów... Pod wpływem tych uwag jego zapał do rewolucji począł stygnąć, a przynajmniej już nie posiadał dawniejszego natężenia. I coraz częściej przychodziły mu na myśl niedawne słowa Dębowskiego, że obecny zamęt nie jest rewolucją i nie może wywołać dobrych następstw politycznych. A niekiedy przypominał sobie nawet gniewne wybuchy stryja, który na wiele lat przed dzisiejszymi ruchami głosił, że rewolucje mogą wyhodować tylko zbrodnie i zbrodniarzy.

Wszystkie te jednak refleksje były zbyt świeże, aby Świrskiego mogły doprowadzić do jakichś nowych wniosków i postanowień.

Pewnego dnia przyjechał sekretarz dyrektora Hut Żelaznych i, przywitawszy się z paniami, poprosił Kazimierza o rozmowę w ważnej sprawie. Gość był zirygowany i wyglądał mizernie.

— Niech pan to z łaski swojej przeczyta — rzekł, podając Świrskiemu niewielką kartkę papieru.

Był to wyrok śmierci dla sekretarza; zapowiedziano mu, że zginie w ciągu kilku dni najbliższych.

— Takie przysmaki dostaliśmy wszyscy — mówił przybyły. — Ma być jeszcze zabity dyrektor, jego pomocnik, kasyer, buchalter, wszyscy inżynierowie i paru najlepszych majstrów. Niechże pan teraz powie: co mamy robić?

Świrski, milcząc, zwrócił kartkę sekretarzowi.

— Przyjechałem do pana w imieniu wszystkich skazańców — mówił gość, a chwilami drgały mu poblądłe usta. — Wiemy, że w ruchu rewolucyjnym odegrywa pan ważną rolę...

— Myli się pan — przerwał mu Kazimierz. — Ja wprawdzie stykałem się z niektórymi wydatnymi rewolucjonistami, ale nasze towarzystwo Rycerzy Wolności działało niezależnie od nich, a niekiedy i wbrew ich żądaniom...

— W każdym razie kieruje pan jakąś organizacją...

— Żadną — odpowiedział Kazimierz — i gdyby tak dalej...

— Co, gdyby tak dalej?... — zapytał sekretarz.

— Nic... Tylko powtarzam, że nie mam i nigdy nie miałem żadnych związków z ludźmi, którzy wydają wyroki...

Sekretarz splótł dłonie, aż mu stawy zatrzęszczały, i mówił rozdrażnionym głosem:

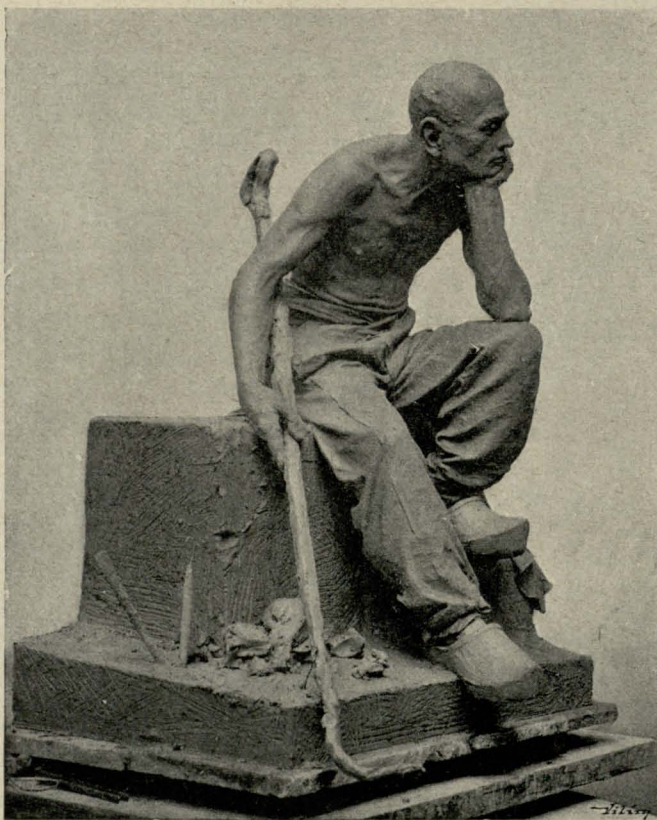
— Niechże pan przynajmniej powie: co mamy robić?... do kogo udać się o radę? Wyjechać z fabryki niepodobna; nazwaliby nas tchórzami, co podkopałoby wszelką karność, a nawet mogłoby spowodować popsucie maszyn... Odwołać się do policy i wymienić tych, na których mamy całkiem uzasadnione podejrzenia, także nie można... Nazwanoby nas szpiegami... Bronić się, nie wiem, czy potrafimy, gdyż panowie ci lubią napadać i mordować zniemka... Więc niby co nam pozostaje?...

— Możeby porozmawiać z najpoważniejszymi robotnikami, wreszcie... z tymi, których panowie podejrzewacie?... — wtrącił Świrski.

— To na nic!... Uczciwi robotnicy sami lękają się warcholów, sami otrzymują wyroki śmierci... A z tamtymi... Proszę pana, ja z nimi gadałem... choćby z naszym praktykantem, którego poznał pan w czasie wigilii... I wie pan, jakie odniosłem wrażenie, nie tylko ja, ale my wszyscy, „lokaje kapitalizmu“, jak nas nazywają...

Odetchnął głęboko i po namyśle kończył:

— Mamy wrażenie, że poza naszymi warchołami i ewentualnymi zabójcami stoi



ODPOCZYNEK

L. SALOUN

ktoś inny, ktoś, komu bardzo zależy na tem, ażeby w kraju upadł przemysł, rolnictwo, wszelki dobrobyt i ażeby na wieki wieków utrwalił się stan wojenny...

— Może wyższe władze fabryczne źle traktowały robotników, nie mówiąc już o wyzysku... — zapytał Świrski.

— Proszę pana — ciągnął sekretarz — zarząd fabryki, nie tylko u nas, dba o interesy akcjonariuszów, to samo jest wszędzie... Bywało źle... działały się niegodziwości... temu nie będę przeczył... Ale kiedy robotnicy pierwszy raz urządzili strajki, kiedy postawili żądania, aby im powiększyć płacę, zmniejszyć liczbę godzin pracy, urządzić łaźnię i ochronkę, opiekę na wypadek choroby, grzecznie traktować ich i tak dalej, i tak dalej, wszyscy — począwszy od dyrektora, skończywszy na obecnym tu słudze pańskim — przyznaliśmy im rację i poparliśmy ich w radzie zarządzającej... Więcej panu powiem; w sekrecie zacierałiśmy ręce i szepcaliśmy między sobą: chwała Bogu, że nareszcie i w fabrykach skończą się obrzydliwe, pańszczyźniane stosunki.

— Tak, ruch ten zapowiadał się bardzo dobrze — wtrącił Świrski.

— A ciągnie się jak najgorzej — pochwylił sekretarz. — Bardzo prędko przekonaliśmy się, że robotnikom, a raczej menelom, nie chodzi o poprawę stosunków, ale o wywołanie zamętu... My pierwsze warunki robotników przyjęliśmy i gotowi byliśmy je wykonać, ale oni nie tylko zaczęli stawiać coraz nowe, coraz niemożliwsze żądania, ale jeszcze pracowali niedbale, psuli materyały, kradli, zmuszali trzymać w fabrykach takie jednostki, które kwalifikują się w najlepszym razie do wyrzucenia, w najgorszym do kryminału... A gdy oświadczyliśmy im, że dalszych ustępstw fabryka nie może robić, skazano nas na śmierć...

— Cóż oni naprzykład panu zarzucają?... — spytał Świrski.

— Nigdy pan nie uwierzył!... — zawołał sekretarz. — Mam zginać za to, że kiedyś cieszyłem się zaufaniem robotników, że zachęcałem ich do uczenia się, do zawiązywania stowarzyszeń... że wreszcie w ostatnich czasach wyjaśniałem robotnikom niepraktyczność ich postępowania... A prawda!... parę razy odezwałem się, że nie polskie to ręce i nie polskie serca kierują ruchem, który może skończyć się ogólną nędzą i upadkiem naszego narodu na korzyść niewiastom czyją...

Świrski zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju.

— Nie, panie... — rzekł. — Oni mogą pisać wyroki, przyklepać je choćby na parkanach, mogą niepokoić pana, ale zamordować... nie!... Najpodlejszy zbrojca, jeżeli nie jest waryatem, musi mieć jakiś powód do zabójstwa, a oni przecież nie mają żadnego... żadnego!...

— A gdyby kto wynajął mordercę?

— Znadto czarno patrzy pan na świat — mówił Kazimierz. — Wreszcie na tego rodzaju wypadek każdy jest narażony, więc nosimy broń...

— Nosić broń... takie jest ostatnie pańskie słowo?... — zapytał sekretarz.

Świrski wzruszył ramionami.

— Proszę pana — mówił — radzić nie śmiem, ale powiem, w jaki sposób ja sam postępuję z ludźmi, tak zwanymi prostymi... Przedewszystkiem — nic nie biorę darmo, staram się każdą usługę należycie wynagrodzić, może nawet znadto należycie... Powtóre — jestem z nimi grzeczny... Mówię im wy, albo panie... kłaniam się... witam pierwszy... podaję rękę... To też tak zwani proletaryusze lubią mnie i ufają, radzą się, niejednokrotnie ostrzegają... A spotykałem już i takich, którzy wręcz mówili, że, gdybym chciał, życie za mnie oddadzą...

— I pan im wierzy?...

— Rozumie się, że poświęcenia od nikogo nie przyjąłbym, ale... czuję się między nimi bezpiecznym i czułbym się bezpiecznym nawet wówczas, gdyby jaki z pod ciemnej gwiazdy komitet przysłał mi wyrok śmierci...

— Dziękuję panu — rzekł sekretarz. — Popatrzył mu w oczy i mocno uściśnął za rękę. — Sądzi pan, że nie mam się czego obawiać?...

(DCN)

LEW TOŁSTOJ

W OSIEMDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ URODZIN.

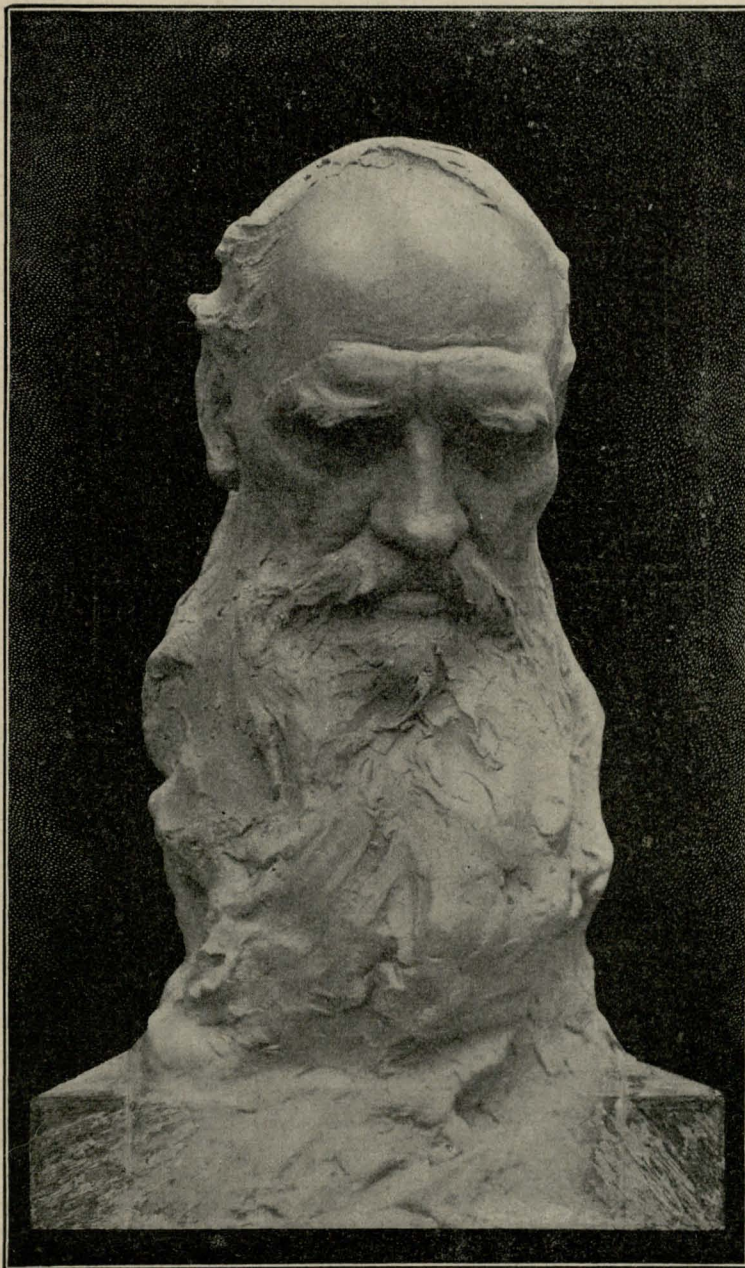
Znam niewiele książek, które, kiedy się je uważnie i ze zrozumieniem czyta, dostarczają tyle treści do poważnych rozmyślań, co dzieła Lwa Tołstoja.

Niepodobna zastanawiać się tu nad całokształtem reformatorskich teorii apostoła z Jasnej Polany, ale wystarczy, sądząc, samo zarysowanie ich podstawy dla zrozumienia organicznego rozwoju całego ich systematu i przekonania się, że sam twórca, wbrew zniechęcającym doświadczeniom swych wyznawców, w niczem przekonań swych nie odstąpił.

To i owo dałoby się jeszcze o nich powiedzieć, przedewszystkiem zaś niejedno sprostować, ponieważ nie było chyba reformatorskiej teorii, o którejby równie wiele rozprawiano, a która, pomimo to, byłaby tak mało znana. Fantazyjący tłumacze i powierzchowni czytelnicy zniekształcili teorię Tołstoja tak osobliwie, że ją opinia publiczna mogła z zupełnym powodzeniem skarykaturować. Wystawiana na pośmiewisko, raczej jednak zasługuje na to, by ją starano się zrozumieć. Zastanówmy się nad istotą i rzeczywistym znaczeniem tej doktryny.

Przedewszystkiem zaznaczyć musimy, że możnaby zejść na manowce, poszukując ideałów apostoła z Jasnej Polany w obiektywnym jego doktryny wyrazie. Nie jest ona ani nowa, ani też oryginalna. Jeżeli nie to samo, to w każdym razie coś podobnego, rozlegało się już w zachodnio-europejskim średniowieczu, oraz po części stanowiło, a i dziś jeszcze stanowi, *credo* nowszych sekt rosyjskich. Nauka chrześcijańskiej moralności, spoczywająca na prastarej podwalinie naturalistycznego panteizmu, dziś za nową religię ogłaszana, nie zawdzięcza naturalnie swego powstania dopiero Tołstojowi. Nie on sam stworzył, w celu odrodzenia ludzkości, ową religię, opartą na społecznych dążeniach, przepojoną ideałem gorącej miłości bliźniego, stwierdzającą dogmat przyrodzonej człowiekowi dobroci. Dzieje świata roją się od podobnych usiłowań, zawdzięczanych w części inicjatywie jednostek, w części zaś niezgłębionej twórczości mas. Jedynie też, dzięki nieświadomości, brakowi zastanowienia, przedewszystkiem zaś rozgłosnej chwale znakomitego nazwiska, rozpowszechniło się po świecie przeświadczenie, że apostołstwo Tołstoja przynosi coś zgoła nowego.

Rzeczywiste jego znaczenie polega nie na zawiści, mniej jeszcze na wynikach, ale wyłącznie na przenikającej je, żywiołowej sile. Wistocie u Tołstoja człowiek, przewyższa swe idee, wykazuje więcej charakteru, niż inteligencji, więcej genialności, niż talentu. Jego moralne przymioty, jego sumienność w dociekaniu prawdy, jego odwaga wyznania poznanej prawdy, dla ukorzenia się przed nią i jej rozgłaszania — oto na czym polega rzeczywiście potężna, osobliwa i nader rzadka jego wyższość. A kto się o tem chce przeświadczyć, musi przeczytać wszystkie jego dzieła; niepodobna tam oddzielić powieściopisarza od filozofa. Od twórcy i apostoła trzeba zstąpić do człowieka, który jest wprawdzie człowiekiem, jak wszyscy inni, ale posiada ludzkie uczucia



Portret hr. Tołstoja, wykonany przez N. Aronsona, ucznia Rodina.

w całej ich głębi i żarliwości, który z gorączkowym niepokojem poświęcił się wielkim zagadnieniom, którego niepokój — zaledwie powierzchownie poruszający wygodną gnuśność najlepszych z pośród nas — potęgując się coraz bardziej, zamienia się wreszcie w męczącą, bolesną trwogę, która powinna być właściwie normalnym stanem każdego człowieka, co nie znalazł jeszcze żadnej odpowiedzi na zagadnienie żywota. Już samo to nadaje Tołstojowi osobliwą, niezwykłą, potężną istotę.

Aczkolwiek Tołstoj, wyłożywszy owe zagadnienia żywota, rozwiązał większą ich część w sposób paradoksalny, wątpliwy — powiedzmy nawet — błędny i, aczkolwiek właśnie blaskowi swoich błędów zawdzięcza część swojej sławy — tym samym błędem oczywistości należy w części przypisać winę jego niepowodzenia. Powiadam: w części, ponieważ niepowodzenie nie jest zupełne. A gdy się poniekąd gorzko uskarża na to, pochodzi to stąd, że oczekiwał bezpośrednich, oczywistych wyników, które nie mogą być nie oddzielone od kapłańskiej jego godności. Tołstoj zapomina o tem, że jest prorokiem. Czyż bo kiedy prorocze słowo oddziało tak, jak on tego oczekiwał?

Ale posiew wschodzić poczyna!

Aczkolwiek ludzkość jeszcze wogóle nie

przestała iść śladem fałszywych proroków — i niewątpliwie, że trudno ją będzie zwrócić z owego śladu — aczkolwiek w odmęcie bytu jeszcze wielu zmierza przed siebie na oślep, aczkolwiek nie wszyscy jeszcze zatrzymują się na burzliwej drodze dobrowolnego zbłądzenia, a jednak jest już wielu takich, którzy z uwagą słuchają głosu, odzywającego się do nich. Poczynają zgromadzać się, rozmyślać i dają przed się, jedynie wpatrzeni w budzącą trwogę, ale zbawczą wizję zagadnienia, mającego być rozwiązaniem — celu, do którego zmierzać należy — zamiaru, który wypełnić trzeba.

Zdaje mi się, że jeszcze bardziej widoczne staje się to w przejawiającej się wszędzie, z każdym dniem silniejszej reakcji przeciw ubóstwieniu wiedzy. Tołstoj nie był zresztą ani pierwszym, ani jedynym, który nazwał czczą złudą rzekomo zbawcze posłannictwo wiedzy i który ogłosił ją za niezdolną do podjęcia wzniosłej roli, wręcz jej przez długi czas narzucał ze strony ciemnego tłumu, tudzież paru poświęconych. Przed nim i z nim jednocześnie działali w tym kierunku jeszcze inni. Ale sama oczywistość faktów najpotężniej przyczyniła się do wykazania tego niefortunnego błędu. Tołstoj dokonał reszty. Jego natarcia, zazwyczaj trafne, a zawsze budzące wrażenie, znajdowały rozgłosne echo i wywierały wpływ o wiele silniejszy od wielu innych argumentów, wprawdzie mniej ostatecznych, ale nie tak dosadnych.

Nie ulega wątpliwości, że pojawienie się rosyjskiej powieści w zachodniej Europie zadało śmiertelny cios literackiemu naturalizmowi, to jest właśnie temu kierunkowi, który najzapamiętałej bronił bałwochwalstwa wiedzy. Zapanował inny, biegunowo przeciwny kierunek, który utworzył nowy ideał, nowe pojmowanie życia i wywołał powszechny przewrót.

Na to już Tołstoj nie potrzebuje się skarżyć.

Mniej zadawała go wynik zasadniczej podstawy jego systematu. Nie znajduje wiele widozków podbicia świata zasada, że złemu nie należy opierać się, przy pomocy gwałtownych środków. Jest ona zbyt radykalna, a wygłaszający ją na zbyt pewien swego. Kiedy się pomyśli o następstwach, które musiałoby wywołać stosowanie w praktyce tej zasady, zgroza przejmuje. Nie chodzi tu o samo tylko uporanie się z wojną i militarystem — z tem jeszcze można byłoby się pogodzić bez trudu — ale również o usunięcie policji, sądów, a nawet przymusu w kształceniu dzieci. Ludzkość nie zaszła jeszcze tak daleko, aby się obywać mogła bez tych środków pomocniczych, niezbędnych do jej społecznego istnienia. I czy wogóle będzie mogła kiedykolwiek zdobyć się na to?

Zresztą owa zasada Tołstoja nie ma w sobie nic rewolucyjnego. I gdyby się ograniczyła do żądania, że złe tylko dobrem zwalczać należy, nie tylko miałyby za sobą świadectwo ewangelii, lecz i uznanie wielu ludzi. Ale co jest dobre, a co jest złe? Co do tego naprzód porozumieć się należy.

Tołstoj, który w poglądach swych i ich wynikach przeważnie bywa jednostronny, zna tylko

jedno określenie: zło—to przymus. Każdy przymus, każdy środek przymusowy, bez względu na pobudki, nawet kiedy przymus zostaje wywołany najczystsza miłością—złem jest. Dobrem jest miłość bliźniego, i to wyłącznie sama tylko. A zasada się ona na nieograniczonym pobjażaniu, na zupełnym, stałym, bezgranicznym wyrzeczeniu się wszystkiego, co ogranicza wolną wolę człowieka, przy pomocy wewnętrznego przymusu, choćby nawet środki przymusowe opierały się na prawie i sprawiedliwości. Że miłość bliźniego należy do najwyższych dóbr ludzkości, o tem i my najmocniej jesteśmy przekonani, ale powątpiewamy, czy taka miłość bliźniego, jak ją Tołstoj określa, może być jedyną możliwą formą dobrego, i nie rozumiemy, że taki subtelny psycholog nie czuje tego, iż obok absolutnej miłości bliźniego, jej podporządkowane, ale od niej pochodzące i wiodące do niej, najwyższe dobro posiada jeszcze inne, przygotowujące, wychowawcze formy; że pomiędzy absolutnym egoizmem a czystą miłością bliźniego znajdują się jeszcze stopnie pośrednie, a mianowicie prawo i sprawiedliwość. Można byłoby wprowadzić przypuszczenie, że owe przechodnie i kwetyonowane środki z biegiem czasu znikną zupełnie, dodać wszakże należy, że dla ludzkości, jeszcze niedoskonałej, narazie są niezbędne. Ludzkość, która tymczasem nie znajduje się jeszcze w stanie zupełnej doskonałości, nie może czekać,



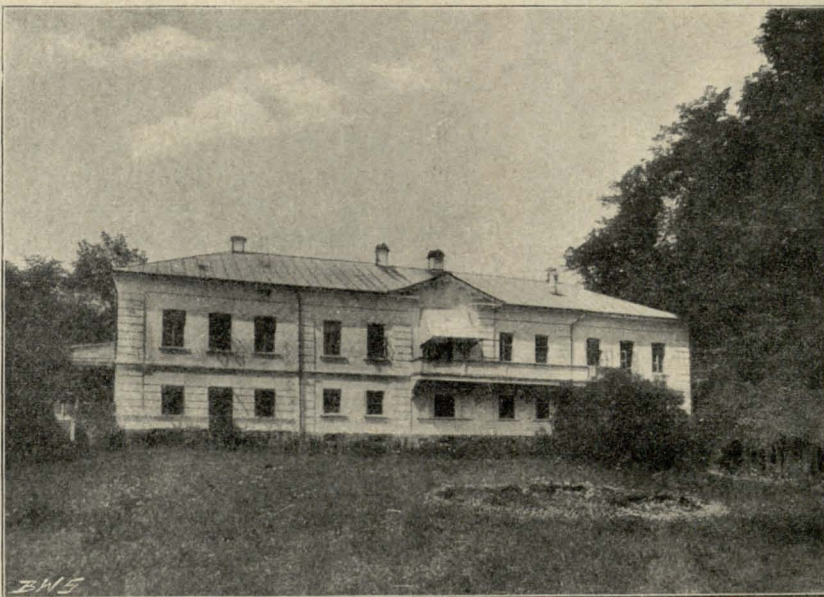
Lew hr. Tołstoj.

aż jej osiągnie, co jest koniecznym warunkiem do nieograniczonej miłości bliźniego. Przeto do-

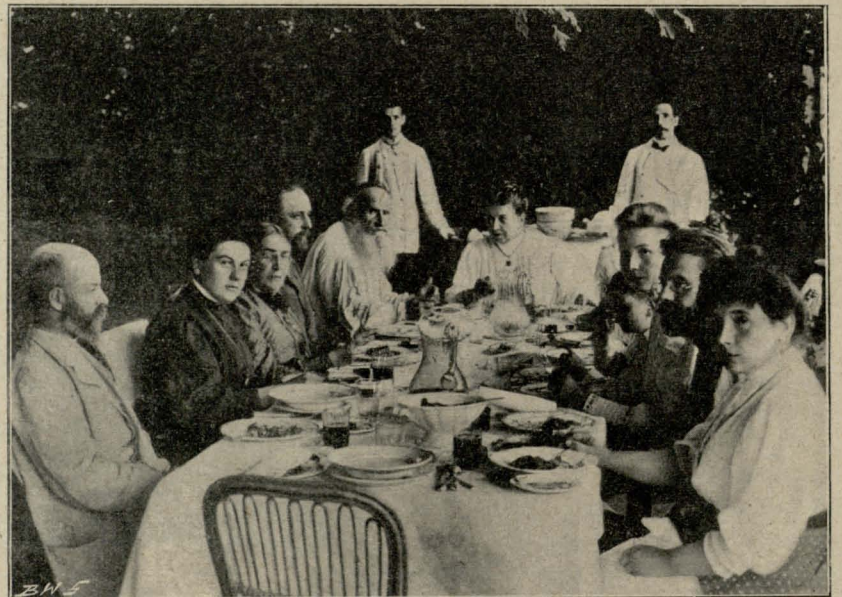
magać się trzeba prawa i sprawiedliwości, i to w sposób najbardziej stanowczy. Ale do tego potrzeba nam odrobiny przymusu, o którego stosowaniu bez użycia środków gwałtownych myśleć niepodobna.

Czy z tego należy koniecznie wyprowadzić wniosek, że Tołstoj wszedł pod tym względem na błędną drogę? Że w świecie, który nie zdołał jeszcze urzeczywistnić ostatecznej formy miłości bliźniego, takiego absolutnego żądania bronić niepodobna? Że współczesnej ludzkości tak olśniewający ideał przyświecać nie może?... Przeciwnie! Jesteśmy najmocniej przekonani, że rzadko który prorok równie szczęśliwie był natchniony. A choćby nawet miał w samej rzeczy błędzić, to nie wprowadzi na manowce szlachetnych dusz. Bo przez jego usta przemawia Ten, co większy jest od niego. Któż to był, co ważył się powiedzieć: „Bądźcie doskonali, jako wasz Ojciec w niebie doskonały jest!” Żadne posłannictwo niebieskie nie może być bardziej pocieszające i zarazem bardziej surowe, jak zwiastowanie owego ideału, na którego straży staje sumienie, nie mogące mu jednak godnie odpowiedzieć. Los człowieka powinien być z niem ściśle zespolony, ponieważ człowiek, aczkolwiek wistocie jest grzesznikiem, może jednak dostąpić zbawienia i ma Boskie przeznaczenie.

WŁADYSŁAW NAWROCKI.



Dwór hr. Tołstoja w Jasnej Polanie.



Leon hr. Tołstoj w otoczeniu rodziny i domowników.

REMIGIUSZ KWIATKOWSKI:

Z ANTOLOGII SŁOWACKIEJ.

HURBAN VAJANSKY:

ROMANS.

Przez zamglonej łąki tori
Co wyskoczy rumak-koń,
Pędzi rycerz piękny, młody,
Jakby z wichrem szedł w zawody...
Wstrzymaj konia, o, szalony,
Noc cię chwyci w czarne szpony!
Welon mgły na drogach legł,
Rycerz wciąż podwaja bieg
I przez gąszcz i przeguby,
Jak na skrzydłach, mknie do lubej...
A wśród lasu zwilgniętego
Wróg już czai się na niego.
W każdy szelest, szum i wiew
Najpiękniejsza z pośród dziew

Wciąż wsłuchuje się daremnie,
Zapatrzona w nocne ciemnie...
Wichr na polach jeno hula,
W młodej piersi tkwi już kula.

ORSAGH-HVIEZDOSLAW:

Z cyklu: „Pieśni”.

Jam głos, co woła na pustyni
I wciąż bez echa trwogę czyni...
Gdyby tak prorok zeszedł do ludu,
I pośród znoju, łez i trudu
Nie wydał plonu jego siew,
Przekląłby pracę swą daremną
I wyższy ponad rzeszę ciemną
Sobieby tylko nucił śpiew.

Lecz jam nie prorok... Z ludem wraz
Chcę dzielić wszystkie jego bole,
I jasne dni i burzy czas,
I wśród nieszczęścia szarą dolę...
I wołam zawsze i bez końca:
„Za mną! Do słońca, wciąż do słońca!”
Lecz wokół noc i kłębny mrok,
Cisza i żadnej odpowiedzi,
Daremnie ślę splekany wzrok,
A słuch najmniejsza szelest śledzi...
Trawiony bólem i tęsknotą,
Wypuszczam z dłoni harfę złotą.
Po chwili jednak gram na nowo,
A w rozelkanej struny brzęk
Wpada bolesny serca jęk...
I z opuszczoną smutnie głową,
Niepewny, czy mnie kto usłyszy,
Wezwania nowe rzucam w ciszy...

— Obaczyciel! Hej! obaczyciel!—krzykał radośnie, wchodząc na swoje gronta. Leżały tuż pod lasem, jednym bokiem przywarte do pól lipeckich, ale Boże się zmiłuj, co to były za gronta! Kawał dzikiego ugoru, pełen dołów po cegielni, szutrowisk i kamionek, obrosłych cierniami. Dziewanny, psi rumianek i końskie szczawie bujnie się pleliły po wzgórkach, a kaj niekaj z trudem wynosiła się pokręcona sosenska, to kępa olch lub jałowców, zaś po dołkach i mlakach sitowia i trzciny burzyły się, kiej młode bory. Słowem, ziemia była taka, co piesby nad nią zapłakał, że nawet sam dziedzic odradzał, ale chłopak się uparł.

— W sam raz la mnie! Uredzę i takie!

I Mateusz go odwoził, ze strachem spoglądając na to dzikie wywieisko, kaj jeno pieski folwarczne odprawiały swoje wesela, ale Szymek ciągiem prawil swoje, a w końcu twardo powiedział:

— Rzekłem! Każda ziemia dobra, jak się jej człowiek dołoży!

I wziął ją, bo dziedzic sprzedał tanio, po sześćdziesiąt rubli morgę, i jeszcze obiecał pomoc w drzewie i różnościach.

— Hale, cobym to nie miał poredzić! — wykrzyknął, oblatując ją rozgorzałemi oczyma, i, złożwszy taczki na miedzy, ją obchodzić swoje granice, znaczone nawtykanemi gałęziami.

Chodził zwolna i w takiej cichej a głębokiej radości, jaże serce biło mu, kiej młotem, i gardziel zatykało. Chodził medytując, układając sobie w głowie po porządku, co robić i od czego zaczynać, dobrze bowiem rozumiał, jaka go czekała praca, jeno co się jej nie ulęknął, jakżeby? Przecież to miał robić la siebie, la Nastusi, la przyszłego rodu Paczesiów, to się tak był sprężył w mocy i srogiej ochocie, jako ten głodny wilk, gdy przychwyci barana i dorwie się żywego mięsa.

I, obszedłszy całe pole, jął rozważnie wybierać miejsce pod chałupę.

— Rychtyk najlepsze, wieś naprzeciw i bór pod bokiem, łącniej będzie o drzewo i ciszej na zimę—rozważał i, oznaczywszy kamieniami cztery węgly, ściepnął kozuch, przeżegnał się, i splunąwszy w garście, wziął się do równania ziemi a karczuków.

Dzień się już był podniósł złocisty, od wsi leciały porykiwania stad, wypędzanych na paszę, skrzypiały zórawie, ludzie wychodzili do roboty, turkotały po drogach wozy, i niesły się przeróżne głosy wraz z leciuskim wiatkiem, któren zaswywolił we zbożach, że zachrzęściały, kolebiąc się ze strony na stronę, wszystko szło, jak co dnia, tylko Szymek, nie bacząc na nic, jakby się zapamiętał w pracy, niekiedy jeno prostował grzbiet, odzypał, przecierał oczy, zalane potem, i znowu przypinał się do ziemi, kieby ta pijawka nienasycona, mamrocząc jeno ciągiem wedle

swego zwyczaju do każdej rzeczy, jakby do czegoś żywego.

Jął się był właśnie wyważania wielgachnego kamienia i prawil:

— Wyleżałeś się, odpocząłeś, to mi teraz możesz chałupę podeprzeć.

A wycinając krze tarniny, mówił ze szydlwym prześmiechem:

— Nie broń się, głupie! myśli, co mi się oprze! Hale, ostawię cię to, byś portki ozdierało, co?

Zaś do kamionek odwiecznych rzekł:

— I was ruszę, ciężko gniesć się na kupie! Bruk z waju wyrychtuję kole obory, jak u Borynów!

A niekiedy, nabierając oddechu, ogarniał swoją ziemię miłującemi oczami a szeptał gorąco.

— Mojaś ty! Moja! Nikto mi cię nie wydrze!

I, współczując tej biedocie zachwaszczonej, płonej, nieurodzajnej i opuszczonej, dodawał pieśczośliwie, kieby do dzieciątka:

— Poczekaj ździebko, sieroto, uprawię cię, napasę, wyceckam, że rodzic będziesz, jak i drugie. Nie bój się, dogodzę ci, dogodzę.

Słońce się podniosło na pola i zaświeciło mu prosto w oczy.

— Panie Boże, zapłać! — wyrzekł, przymrużając oczy. — Na gorąc znowu idzie i suszę — dodał, bo wynosiło się srodze rozczewienione.

Pokrótnie ozwała się i sygnaturka na kościele, a nad lipeckimi kominami podnosiły się zwolna modrawe słupy dymów.

— Podjadłbyś se tera, gospodarzu, co? — przyciągnął pasa — jeno ci już matka dwojaków nie przyniesą, nie — westchnął smutnie.

I na podlaskich rolach zaroilo się od ludzi, stawali, jak i on, do roboty, na co dopiero nabytych ziemiach, dojrzał Stacha Płoszkę, orzącego w parę tęgich koni.

— Mój Jezu, kiedy to dasz choćby jednego — pomyślał.

Wachnik Józek zwoził kamienie na fundamenta chałupy, Kłęb ze synami okopywał rowem swoją ziemię, a Grzela, wójtów brat, przy samym krzyzie nade drogą coś długo rozmiarzał tyką.

— Miejsce jakby wybrane pod karczmę — zauważył Szymek.

Grzela, oznaczywszy kółkami wymierzony plac, przyszedł z pozdrowieniem.

— Ho, ho! robisz widzę za dziesięciu! — podziw miał w oczach.

— A bo mi to nie potrza! Cóż to mam? Jedne portki a te gołe pazury!

Mruknał, nie odrywając rąk od roboty, Grzela poradził mu to i owo i wrócił do swojego, a po nim zachodziły i drugie, kto z dobrem słowem, kto na pogwarę, a kto jeno wykurzyć papierosa i zębów naszczerzyć, ale Szymek odpowiadał coraz niecierpliwiej, że już w końcu ostro krzyknął na Pryczka:

— Robiłbyś swoje i drugim nie przeskadzał! Świątki se juchy robia!

I ostał sam, bo go już omijali.

Słońce podnosiło się coraz wyżej, wisało już nad kościołem ogromne, złociste i rozgorzałe, niesło się niepowstrzymanie, zalewając świat ślepiącą jasnością i żarem, wia-ter się był kajś zadział, że już gorąc bez przeszkody ogarniał ziemię rozmigotaną przysłoną, w której zboża płały się, kieby w tym rozbełtanym, cichuskim wrzątku.

— Mnie ta rychło nie spędzisz — rzekł jakby przeciw słońcu i, dojrawszy Nastusię ze śniadaniem, wyszedł naprzeciw, łapczywie zabierając się do dwojaków.

Nastusia jakoś markotnie spozierała po polach.

— A bo się to co urodzi na takich zdziarach i mokradłach!

— Wszystko się urodzi, obaczysz, co i pszenicę miała będziesz na placki.

— Czekaj tatka latka, jak kobyłę wilcy zjedzą.

— Nie zjedzą, Nastuś! Gront jest, to i łącniej przeczekać, dyć całe sześć morgów nasze — prawil, pojedając z pośpiechem.

— Juści, to ziemi pewnie ugryzie! A jak to prezimujemy?

— Moja w tem głowa, nie turbuj się! O wszyćkiem deliberowałem i wszyćkiemu najdę zaradę! — odsunął puste dwojaki, przeciągnął koście i powiódł ją, pokazując i tłómacząc.

— W tem miejscu stanie chałupa — zawołał radośnie.

— Staniel Z błota ją pewnie ulepisz, kiej jaskółka!

— A z drzewa i gałęzi, i z gliny, i z piasku, i z czego się jeno da, bele tylko w niej przetrzymać z jakiś roczek, póki się nie wspomozemy.

— Sielny dwór, widzę, zamyślasz! — warknęła niechętnie.

— Wolę w budzie, niżli u kogo na komornem.

— Mówiła Płoszkowa, żeby się do nich sprowadzić na prezimowanie, i sama się ochfiarowała dać nam izbę, z dobrego serca.

— Z dobrego serca. A juści, pewnikiem chce zrobić na złość matce, dyć się żrą ze sobą, kiej te psy. Torba zapowietrzona, nie potrzebuję jej dobrości! Nie bój się, Nastuś, wyrychtuję ci taką chałupę, że i okno będzie, i komin, i wszyćko, co ino potrza. Obaczysz, że, jak ament w pacierzu, tak za trzy niedziele stanie gotowa, żeby se miał kulasy urobić, a stanie.

— Hale, sam to pewnie postawisz!

— Mateusz mi pomoże, przyobiecał.

— Nie dałaby to matka jakiego wspomozenia? — powiedziała lęklwie.

— Żeby skapiał, a prosił ich nie będą — wykrzyknął, ale, widząc, co jeszcze barzej posmutniała, wielce się sfrasował i, kiej przysiedli pod żytem, jął się jęklwie tłómaczyć.

Na widowni politycznej.

Współczesna polityka międzynarodowa przechodzi obecnie bardzo charakterystyczne i ciekawe stadium „wizyt” i „porozumień”, jakie w ostatnich czasach stale odbywają się wśród panujących i ministrów rozmaitych państw i narodów. Po Rewlu, Ischlu i Kronbergu świat polityczny z wielkim zainteresowaniem spogląda teraz na Marynbad, gdzie bawi od niedawna król Edward VII, który nawet podczas wy-wczasów nie zaniedbuje polityki, gdyż trudno przypisać zająm u



Reszad Effendi, następca tronu tureckiego.

zrządzeniu losów fakt, iż o miedzę w Karlsbadzie bawią również jednocześnie dwaj ministrowie zaprzyjaźnionych z Anglią mocarstw: prezes ministrów francuskich Clémenceau i rosyjski minister spraw zewnętrznych Izwolskij.

Wszystkie „wizyty” i „porozumienia” najgłośniejszym echem odzywają się w Berlinie, budząc tam stale podejrzenia, że zwrócone są przeciwko Niemcom. Przemija bowiem czas, gdy, według wyrażenia berlińskiego, bez zezwolenia potężnej Rzeszy niemieckiej nie mógł paść żaden strzał działowy. Akcja przeciwko Niemcom rozwija się coraz silniej, a cała europejska polityka układa się obecnie około nieuniknionej w niedalekiej przyszłości walki zbrojnej pomiędzy Anglią a Niemcami o hegemonię na pozaeuropejskich terenach.

Żadne z większych mocarstw Europy nie może zachować neutralnego stanowiska w tym wypadku, gdyż budzi to podejrzenia zarówno w Anglii i w Niemczech, i obaj ostrożni bardzo przeciwnicy korzystają z każdego momentu, aby pomieszać szyki w podejrzanym państwie, przygotowując mu najmniej oczekiwane niespodzianki. Jedną z nich jest obecne stanowisko Rzeszy niemieckiej wobec sytuacji Marokka, gdzie iście pruskie pomysły paraliżują coraz usilniej wszelkie wpływy bardzo zainteresowanej w tym wypadku Francji...

Na politykę „wizyt” i „porozumień” nie mniej wpływa obecnie zakłócone wciąż położenie na wschodzie, gdzie w Turcyi i w Persyi wre bezustannie. Oibrzymi pożar Konstantynopola, największy, jaki wydarzył się wogóle w ostatnich 25 latach, wywołany przez najemnych podpalaczy w celach reakcji, wyraźnie wskazuje, iż Turcyja niejedną jeszcze przeżyje chwilę zamętu i chaosu, zanim ostatecznie zwycięży nowy stan rzeczy. W każdym razie, jak dotąd, pożar był nieudany pomysłem ze strony reaccionistów, gdyż, jak opowiadają naoczni świadkowie, korespondenci gazet europejskich, stał się jedynie jaskrawą ilustracją tych nieporządków, w których znajdowała się cała Turcyja i jej stolica za czasów starego systemu. Wobec braku umiejętności zorganizowanej straży ogniowej, wodociągów w cichym Konstantynopolu, beczkowozów, o których nie mają pojęcia, nosząc wodę konewkami, jasnym stało, dlaczego w stolicy padyszacha w przeciągu kilkunastu godzin spłonęło 6000 wielopiętrowych domów, a przeszło 80000 mieszkańców pozostało nagle bez dachu i chleba. To też pogłoski o ustąpieniu sułtana obiegają coraz natarczywiej, a stanowisko następcy tronu Reszada Effendi wzmaga się z dnia na dzień.

Za przykładem Turcyi, gdzie ruch konstytucyjny narazie się rozrasta, idzie również Persya. Rozbita partya rewolucyjna znowu nabiera otuchy i energii, przygotowując się do ostatecznej walki z szachem. Czy i tym razem szach zgniecie niepokornych, wkrótce się przekonamy. W każdym razie szanse władcy Persyi przedstawiają się nieszczerólnie wobec coraz większej ilości zwolenników powstania, nawet w samej stolicy.

RR.

Rewolucya w haremie.

Przed oczyma naszymi rozgrywa się pierwszy akt dziejowego dramatu.

Tytuł jego — „Wschód się budzi”. Reżyser, jak chce technika sceniczna, kryje się dyplomatycznie za kulisami. A na widowni w śmiertelnym pojedynku zmagają się stary porządek z nowym.

Prądy wolnościowe zataczają coraz szersze kręgi. Przenikają nawet do wnętrza haremu. I pierś odaliski wzbiera pragnieniem nowego życia; wypieszczoną dłońią robi wyłom w murze, odgradzającym ją od świata; śpieszy na pomoc bojownikom przewrotu, w nadziei, iż wraz z erą konstytucyjną wybijie i dla niej godzina „reform”.

Dzieje ostatnich sprzysiężeń, organizowanych w Turcyi, mówią: *cherchez la femme*.

Znajduje się ją i dziś w obozie młodotureckim. W manifestacjach, zainscenizowanych nad Bosforem przez komitet „Jedności i postępu”, współtorkami są kobiety. Z zapałem niecą i podtrzymują nastrój wolnościowy. W Konstantynopolu na zgromadzeniach ludowych wygłaszają płomienne mowy; w takt Marsylianki intonują hymny na cześć „równości, wolności i bractwa”.



Z HAREMU

L. CORINTH

ki intonują hymny na cześć „równości, wolności i bractwa”.

Czy jednak panowanie tej rewolucyjnej trójcy utrwali się i ogarnie całą ludność?

W Salonice na wiecu Turczynek dowodzone, iż równouprawnienie nie będzie zupełne, o ile się nie rozszerzy na kobiety. Obecny na zebraniu Nasi bej, jeden z przywódców rewolucji, zapewniał, iż partya Młodej

Turcyi wcieli „głosowanie bez różnicy płci” do programu dalszych reform. Muzułmanki przygotowują się gorączkowo do działalności obywatelskiej. Organizują stowarzyszenia kobiece, wydają pisma, nawołujące do zerwania z tradycją odalisek.

Według słów publicystki Zegnek Noury (rozwijającej w *Nowej Prasie* barwne obrazy z życia Turcyi współczesnej), despotyczny sułtan Abdul-Hamid był wyjątkowo pobłażliwy na punkcie wykształcenia kobiet. Pozwolił na założenie kilkuset szkół żeńskich, nie przewidując, iż wyjdą z nich działaczki, rzucające żarzewie buntu w świat haremu.

A bunt ten szerzy się coraz dalej.

Emancypacja Wschodu, wprowadzenie europejskich form współżycia rozbudza współcześnie w Persyi i w Indyach ruch kobiece.

W Teheranie uczelnie kobiece, tak zwane „mat-tace”, przepełnione. Co więcej, na europejskich wszech-nicach pojawiają się coraz częściej studentki z państwa szacha. Przebierają się *à l'anglaise*, nie bacząc, iż jest to źle widziane w sferach dworskich, zarzucających rzecznikom cywilizacji „brak prawdziwie perskiego pa-tryotyzmu.”

O wyzwolenicznym ruchu wśród Hindusek niechaj zaświadczy fakt, iż na zeszłorocznym międzynarodowym zjeździe socjalistek w Sztudgardzie znajdowała się „kolorowa” wystawniczka z Bombaju.

„Zaraza wolnościowa” nie da się powstrzymać w żywiołowym biegu, pomimo najtroskliwiej stosowa-nych środków zapobiegawczych.

Świeże jej przejawy objawiły się u stóp Uralu.

W Orenburgu wyznawczyni Mahometa złożyły przed paru tygodniami na ręce muzulmańskiej frakcji Izby państwowej petycję, z prośbą o przedłożenie jej III-ciej Dumie w ciągu sesji jesiennej.

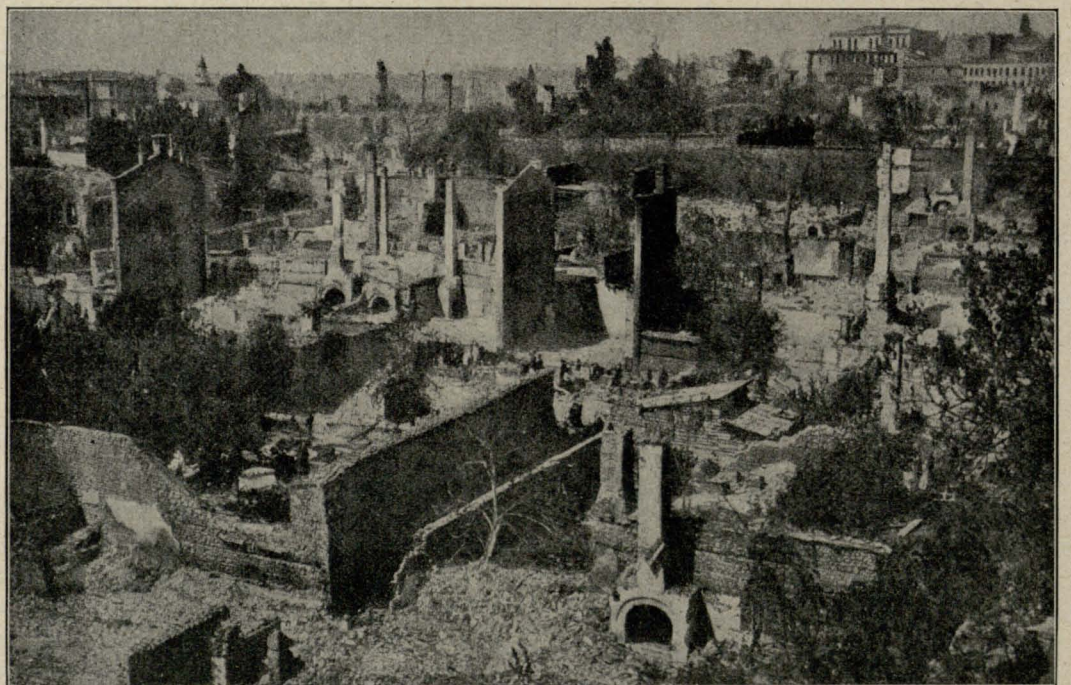
Czytamy tam pomiędzy innymi:

„Muzułmańscy deputowani! Wy musicie żądać praw dla kobiet muzulmańskich. Myśmy zrozumiały, chwala Ałlachowi, że jesteśmy ludźmi, co więcej, matkami narodu, którego postęp i odrodzenie w naszych spoczywa rękach. Uczni młotówie, wspólnie z czarno-secinymi dziennikarzami, wiodą bój przeciwko naszemu oswobodzeniu. Chcą nas utrzymać w ciemności i za-leżności. Dogadza to wielu mężom-tyranom, którzy biorą sobie żon, ile im się podoba, i do tego tracą czas i pieniądze na hulankach. Tak dalej być nie może”.

Jak widzimy, wrzenie rewolucyjne szerzy się nie na żarty pośród wyznawczyń Koranu. Chcą one wraz z budzącym się światem muzulmańskim iść naprzód, po życie sięgać nowe.

Przywileje władców haremu zagrożone na całej linii.

J. ORKA



Po pożarze dzielnicy w Konstantynopolu.



„CHRZĄSZCZE“, KOMEDIA W III-ch AKTACH BRIEUXA. AKT III-ci SCENA KOŃCOWA.

WIECZORY TEATRALNE.

Jako sztuka, przyjęta do Teatru Nowego na Królewskiej, odegrana została w Teatrze Letnim i jako nie było człowieka, któryby się temu składowi rzeczy nie dziwował. — „Chrzaszcz“, trzyaktowa komedia Eugeniusza Brieux, tłómaczona z francuskiego. — Potknięcie się repertuarowe naszej sceny dramatycznej. — Nieco o przywarach niewieścich i męskiej ślamazarności oraz nieco o dobrym smaku, któremu się p. Brieux przeniemyli.

Mężczyzna w t. zw. „pewnym“ już wieku, zwłaszcza zaś człowiek seryo, poważnym oddany zajęciom—ot, np. profesor botaniki, rozmiłowany w żywych i zherboryzowanych flancach—jeżeli przeżył czas pewien z żoną—np. młodą i powabną—tedy wszelkie przywary najnieznośniejsze jej charakteru i usposobienia nie zrażą go do niej. Nie rozstanie się z nią nigdy. Choćby miał „murowane“ dowody jej obojętności, nieludzkości, ba! wiarołomstwa. Żachnie się, zdobędzie się nawet na „krok stanowczy“... będzie miał chwilę niezmierniej uciechy, „odzyskawszy swobodę“... a potem—za tęskni do trybu życia, do którego przywykł, znajdzie sam tysiące „łagodzących okoliczności“, przebaczyci—wróci „pod jarzmo“—słodko-gorzkie.

— Wiemy! wiemy—gotowe mi przerwać niecierpliwie świergotanie po wszystkich okolicznych dachach. My, wróble, śpiewamy o tem niemal codzień od stworzenia świata—i musieliż chyba ludzie nauczyć się tej piosenki na pamięć!

— Ptaszka najmiłsze—mógłbym odpowiedzieć—mądre jesteście bardzo, nie przeczę, i nikt z pewnością nie zna od was lepiej ludzkiej ułomnej natury. Wszak, ciesząc się znacznym rozgłosem nad Sekwaną, komedyopisarz p. Eugeniusz Brieux posunął tezę, o której mowa, o krok dalej...

— Oho!—zaćwikały nieprzystojnie wróble.

— Proszę mi nie przerywać—rzekłem—gdyż nie z wami sprzeczać się tu przyszedłem, jeno zdać sprawę sumiennie z tego, co wymyślił i uscenizował w „Chrzaszczach“ swoich wspomniany p. Brieux.

Nie tylko prawowita żona—głosi p. E. Brieux—jest w stanie usidlić hermetycznie prawowitego małżonka. Mężczyznę w t. zw. pewnym wieku, człowieka seryo, np. profesora botaniki etc. (jak wyżej) potrafi wziąć pod ferulę i przywiązać go *quand même* do siebie, lub siebie do niego—najwyklesza, najmniej legalna, młoda, powabna a zręczna „towarzyszka“, powiedzmy: „przyjaciółka“, aby nie użyć innego jakiego synonimu.

Tak!

Dobrze już siwiejący, zacny, rozmiłowany we flancach rozmaitych, kawaler, profesor Piotr, żyje oto lat już trzy, a może cztery z młodą, ładną, pełną wer-

wy i temperamentu Karoliną, która za nos go wodzi, jak sama chce, która wyprawia mu najskandaliczniesze sceny, która zamyka go na klucz i klucz ciska przez okno na głowy przechodniów, która zawraca mu głowę ukochanymi pieskami swymi, nie pozwala mu palić fajeczki, rozkładać się z nogami na otomanie, która drze w uniesieniu jego zielniki, ciska poduszkami po pokoju, tupie w posadzkę, aż zbiegają się mieszkańcy dolnego piętra... Ale—gdy chce i zada sobie fatygę—jakaż ona przebajecznie miła! Widział kto, jak, bywało, ulokuje się na kolanach i zarzuci ręce na szyję—i—i—nie widzieliście? No, to i pojęcia mieć nie możecie, dlaczego profesor, przeszedłszy pięknego dnia istny czyściec z tą niewiastą, rozstał się z nią i znowu wrócił... w jej ręce. Niech tam już dzieje się, co chce, byle ją mieć przy sobie. Są zresztą przyzwyczajenia, których się—nie pozbyć.

Oto i cała *quasi* świeżość tych francuskich „Chrzaszczów“, pokazanych nam, jako ostanía premiera w Teatrze Letnim. Poza owem przetransponowaniem żony na kochankę—nic absolutnie nowego. W dodatku rzecz cała zbudowana niewyszukanie i trzymana w charakterze „szlachetnej“—farsy. Ale—farsy.

Czy i scena dramatyczna warszawska, której letnią widownią czasową jest Teatr w ogrodzie Saskim, ma też być przybytkiem krotoczwili?

Nowa dyrekcyja i reżyseryja dopiero rozpoczęły działalność swoją. Po „Dyable“ i „Hrabinie Cosel“ przyszły „Chrzaszcz“. Ale—nie przesądźmy jeszcze nic o *charakterze* repertuaru sceny naszej dramatycznej. Charakter ten dopiero—ustala się. Nie wątpimy, że pójdzie po linii o wiele górniejszej, niż sztuki w rodzaju „lekkiej komedyi“ (?) Eug. Brieux.

Ze względu przeto na miejsce, gdzie ją wystawiono, wolałbym być nie wspominać o niej wcale. Incydent... przypadkowe zboczenie z drogi, której się jeszcze nie opanowało...

Jest wszelako rys jeden w „Chrzaszczach“, który nie powinien być ujęć uwagi dyrekcyi repertuarowej i który powinien być powstrzymywany ją od wystawienia sztuki. Rysem tym jest niesmaczność.

Karolina, po zerwaniu z profesorem, znalazłszy się znów na bruku paryskim, w tem lub owem podnieceniu—rzuca się do Sekwany. Wyratowują ją; odwożą do mieszkania Piotra. Następuje pogodzenie się. I cały ten epizod—traktowany jest... farsowo!

A wszak ci to było przecie *en règle*—*samobójstwo*. Apeluje do najoporniejszej wrażliwości. Czy taki motyw da się omotać niefrasobliwymi żartami, bez obrażenia dobrego smaku?

Sztuka rozpoczyna się od zapisywania lekarstwa dla... widz przez dobrą chwilę przekonany jest, że dla chorego dziecka. Okazuje się, że dla... Azorka p. Karoliny. Swoją drogą ten jeden moment niepewności, osnuty na motywie *choroby dziecka*, wystarcza dla

obrażenia dobrego smaku tam, gdzie właśnie wyrabiać go i wydelikacac powinna scena.

Ciągnący się nieprzerwanie przez aktów trzy szereg scen „domowych“, kłóceń się i godzeń się—w rezultacie nuży monotonią, tem bardziej, że błyskania faktycznego dowcipu—niewiele. Ratuje sztukę, napisaną zręcznie, płynnie, błyskotliwie, ale bez wielkiego wysiłku pomysłowości, doskonała gra artystów naszych. Nie schodzący prawie ze sceny pp. Pichorówna i Wolski dają istny „koncert“, dopełniany z niemałą finezyją przez p. Wilczyńskiego w roli weterynarza Brochota.

Zasługuje ze wszech miar na podkreślenie bardzo staranna, pełna smaku i wykwintu *mise-en-scène*—całkiem komedyowa, w najlepszym stylu.

CZESŁAW JANKOWSKI.

JAK ZIMA.

I przyszedł znowu wieczny, cichy ból...

Przyszedł, jak zima...

Całuny śniegu rzucił na mą duszę

Dłonią olbrzyma,

Rozsnuł ponad nią nieprzerwaną głuszę,

I tylko widać wśród lodowych pól

Krwii plamę czarną —

Tam pod śniegami kielkujące ziarno

Już nie wytrzyma,

Wiosny już nigdy nie będzie...

I przyszedł znowu wieczny, cichy ból,

Przyszedł, jak zima,

SAVITRI.

Od Redakcyi.

Zeszyt niniejszy *Tygodnika* w całości prawie poświęciliśmy bratniemu narodowi czeskiemu. Jest to obowiązek publicystyczny i potrzeba serca. Stosunki słowiańskie układają się w ten sposób, iż wzajemne poznanie się jest poprostu niezbędne. Dotychczas Anglia, Francya, Niemcy lepiej nam były znane, aniżeli pokrewne, bliskie, związane z nami jednością krwi narody. Poprawić to trzeba jak najrychlej.

Sądźmy, że numer czeski da szerokiemu ogółowi dostateczne pojęcie o kulturze, rozwoju duchowym i stanowisku Czechów w rodzinie ludów słowiańskich. Pozostawiając odpowiedzialnym autorom artykułów najzupełniejszą swobodę myśli, składamy zeszyt niniejszy publiczności polskiej i ślemy nad Weltawę do starej niepożytej Pragi, na królewski dumny Wyszehrad bratniego pozdrowienia słowa.



Poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę kościoła katolickiego w Krasnojarsku, gub. jenijska.

Nowa świątynia w Krasnojarsku.

Niedawno ludność polska w Krasnojarsku obchodziła wspaniałą uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod nowy mурowany kościół. Liczne zgromadzone tłumy pobożnych już od rana w dniu rozrzucającej ceremonii zaległy duży plac, przeznaczony pod budowę nowej świątyni, gdzie w pięknie udekorowanym zielonią i kwiatami szalasię odbyć się miało uroczyste nabożeństwo.

Oprócz świeckich księży, w orszaku, celebrującym mszę świętą, było trzech misjonarzy, o.o. Redemptorystów, przyjezdnych z Galicji, którzy swą gorącą i płomienną kaznodziejską wymową niejednokrotnie do szczyrnych też poruszyli rozmódlone tłumy. Wzniesienie nowej świątyni w Krasnojarsku, mogącej pomieścić co najmniej 1000 osób, jest istotnie sprawą doniosłej wagi, gdyż obecnie znajdujący się mały, drewniany i zwietrzały przez długie lata kościółek może pomieścić zaledwie 300 osób, t. j. czwartą część swoich parafian.



Ks. Leon Świątopełk-Mirski.

To też już w roku 1902 miejscowy proboszcz ksiądz Jasiński rozpoczął pierwsze kroki, uzyskał pozwolenie na budowę kościoła, z braku jednak funduszy nie mógł rozpocząć robót. Dopiero całą akcję z nad-

zwyczajną mocą i energią poprowadził nowy proboszcz, ks. Leon Świątopełk - Mirski, człowiek szlachetnego serca i umysłu, który całkowicie pozyskał sobie od razu całą parafię. Za jego radą wybrano komitet do zbierania funduszy na budowę nowej świątyni, na którego czele stanął ogólnie lubiany ks. proboszcz, i oto w ciągu niespełna



Plebania i biblioteka przy kościele katolickim w Krasnojarsku.

pięciu lat zebrano przeszło 11,000 rubli. W myśl księdza Mirskiego i za jego staraniem obok świątyni stanąć ma również dom kościelny, w którym oprócz mieszkań proboszcza i wikarego mieścić się będzie szkoła i biblioteczka polska, która już obecnie liczy około 1,000 tomów najlepszych utworów pisarzy polskich i obcych. Ludność miejscowa, składająca się przeważnie ze sfer niezamożnych: urzędników, rzemieślników i osiedleńców, sama nie może podołać sprostaniu tych ciężkich, a jednak bardzo szlachetnych zadań, przeto liczy również na poparcie rodaków w kraju, którzy zawsze prawie pamiętali o synach, wydziedziczonych z ojczyzny i gorąco miłujących o niej wspomnienia.

Wycieczka kupców polskich do Londynu.

Wobec zupełnie poważnego traktowania przez Anglików sprawy nawiązania stosunków handlowych z Królestwem, by zagarnąć choć w części puściznę niemiecką, z Warszawy wyruszyła do Londynu delegacja kupców polskich w ilości 63 osób. Z powodu doniosłego znaczenia tych mających się nawiązać naszych stosunków angielsko-polskich redakcja *Tygodnika Ilustrowanego* podzielił się ze swoimi czytelnikami dokładnym przebiegiem rozpoczętej akcji oraz ogólnymi impresjami z życia współczesnego Londynu za pośrednictwem swego sprawozdawcy, znanego literata, p. Adolfa Nowaczyńskiego, który jako nasz delegat pojechał obecnie do Anglii.

Wśród obrazów Gustawa Pillatego.

W jednym z salonów Zachęty urządzona jest obecnie wystawa obrazów utalentowanego artysty-malarza p. Gustawa Pillatego. Składają się na nią portrety, studia kwiatów, pejzażowe i figuralne, a także kilka szkiców kompozycji rodzajowej. Całość przedstawia się bardzo zajmująco, gdyż zdradza niezaprzeczony talent twórcy i znaczne opanowanie środków technicznych sztuki. Szczególnie rzuca się w oczy szereg studyów, zrobionych kilku kolorowymi ołówkami, ponieważ skomplikowane nawpół efekty kolorystyczne wyzyskane są w nich w sposób niezmiernie prosty i tem samem odpowiadają najwytworniejszym wymaganiom estetycznym. Wogóle p. Pillati posiada szeroki rozmach, poczucie barw i wiele subtelności smaku w obrazowym ujęciu przedmiotu i dlatego przy najbliższej nawet treści zainteresować zawsze potrafi wartościami czysto malarzskimi. Czasami jednak w obrazach olejnych, a zwa-

szcza w portretach, gdzie kontrola wzrokowa łatwiej obejmuje szczegóły większych rozmiarów, znać jakby pewną przypadkowość w uderzeniach pędzla. Wpływa to z niecierpliwości twórczej, którą znać jeszcze u artysty, lecz drobna ta usterka łatwo się da usunąć. P. Gustaw Pillati należy do zasłużonej w polskim malarstwie rodziny, która poważnie zapisała się w dziejach naszej kultury artystycznej.

Ś. p. Eleonora Chełmicka.

Bardzo liczny orszak, złożony z najbliższej rodziny, krewnych i przyjaciół oraz przedstawicieli naszego świata ziemiańskiego, oddał niedawno ostatnią przysługę ś. p. Eleonorze z Karwowskich Ludwikowej Chełmickiej, nieodżałowanej dzielnej pracownicy na niwie oświaty ludowej, kultury wiejskiej i dobroczynności w mieście i na wsi.

Zasłużony profesor Tadeusz Korzon poświęcił zmarłej serdeczną mowę, którą ogłosił drukiem na szpaltach pism codziennych: „Miłość jej—tak charakteryzuje nam zmarłą—rozciągała się nie tylko na współżyjących, ale i na przeszłe, wymarłe dawno pokolenia. Znała doskonale historię powszechną i narodową, rozumiała pochodzenie i naturę wszelkich spraw społecznych, czciła zasługi przodków. Wiedziała, że jej pradziad, Andrzej Karwowski, generał ziemi bielskiej, ma chlubną kartę w dzie-

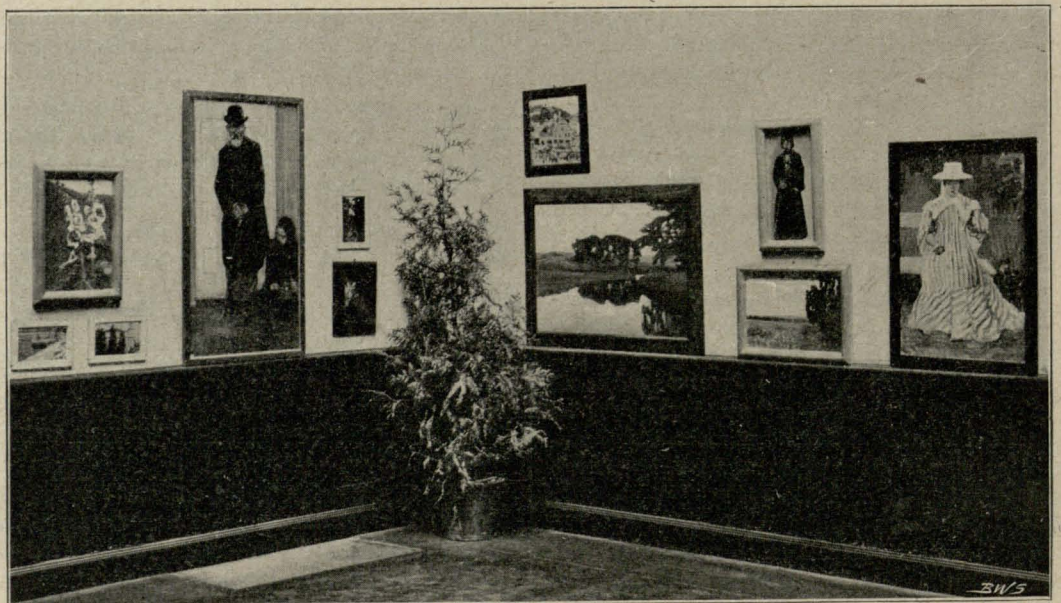


Eleonora Chełmicka.

jach kolumny nadnawiańskiej za powstania Kościuszkowskiego 1794 roku; weszła przez małżeństwo do rodu, zagnieźdzonego w ziemi dobrzyńskiej przynajmniej od początku XV wieku, i chętnie pokazywała zawieszony w salonie obraz, przedstawiający Jagiełłę, jak wynagradza Chełmickiego w 1409 r. za waleczną rozprawę z Krzyżakami. Zaszczepiła zmysł historyczny w dusze dzieci swoich. Przekonałem się o tem w roku 1904, gdy żądała ode mnie poświadczenia, że Kościuszko nie uciekł z pod Dubienki w 80 koni, bo tego poświadczenia domagał się jej 8-letni wówczas Janek, który taką plotkę wyczytał w świeżo wydanej książce historycznej”.

W osobie ś. p. Eleonory Chełmickiej zeszała do grobu rzadkich cnót matka i obywatelka.

Cześć jej pamięci!



Fragment z wystawy G. Pillatego w Salonie T. Z. S. P.



Echa powodzi.

Od lat 40 prowadzona jest na pograniczu austriackim i rosyjskim bardzo kosztowna regulacja Wisły, która, jak dotąd, nie tylko że nie wydała żadnych dodatnich rezultatów, lecz przeciwnie, pogorszyła stan samej rzeki i zamieszkującej wybrzeże ludności.

Obecnie spław jest bardziej utrudniony, niż przed zaczęciem regulacji. Statki starej konstrukcji, potrzebujące około 3 stóp wody, pływały dawniej do Krakowa, a dziś dla braku wody nawet te, które podług nowej konstrukcji potrzebują tylko 1 1/2 stopy, wcale odbywać podróży nie mogą. Wylewy stały się teraz daleko uporczywsze i częstsze, a to z powodu, że koryto Wisły zawałone jest olbrzymimi tamami, które, powstrzymując odpływ wody i zmniejszając szybkość jej biegu, przyczyniają się do zalewania wybrzeży. To też ich mieszkańcy utracili znaczne przestrzenie swych posiadłości. Głównie winna temu miejscowa inżynieria, która narobiła błędów, a ludność okoliczna, niesłusznie odsunięta od spraw regulacji rzeki, pokutuje za cudze grzechy.

Wydano już do 10 milionów rubli na uregulowanie 180-wiorstowej przestrzeni, t. j. około 60 tysięcy rubli na jedną wiorstę, a stan rzeki jest znacznie gorszy, niż przed rozpoczęciem robót regulacyjnych. A najgorsze jest to, że, jak dotychczas, na nic lepszego się nie zanosi. Ilustracja nasza przedstawia dosyć ciekawe curiosum, zakrawające na fragment z tragikomedji, jak

para ślubna na łodzi odbywa podróż do pobliskiego kościoła.

Z sekcji chowu koni przy centralnem Tow. rolniczym.

Niedawno przywiezione zostały do Warszawy i ulokowane w stajni na placu wystawy w Łazienkach konie rasy perszeronkiej i bułońskiej, nabyte we Francji dla hodowców kraju naszego przez specjalną komisję, złożoną z p.p. Adama Michalskiego, Augusta hr. Zamojskiego i Franciszka hr. Jezierskiego. Ogółem sprowadzono 19 ogierów i 6 klaczy.

Odbył się już pokaz publiczny i rozlosowanie, z którego wyłączono 2 ogiery dla głównego zarządu stadnin państwowych i jednego anglo-araba dla ordynata hr. Zamojskiego.



Pokaz klaczy sprowadzonych Charlette i Esperance i losowanie między członkami.



Klacz Grifone dwuletnia, perszeronka.

Konkurs im. Hipolita Wawelberga.

Wydział filozoficzny Uniwersytetu lwowskiego podaje do wiadomości publicznej, że z funduszu, ofiarowanego do dyspozycji wydziału przez p. Michała Wawelberga, ustanawia się konkurs im. b. p. Hipolita Wawelberga na najlepszą w języku polskim pisaną pracę naukową, dotyczącą stosunków społecznych ludności żydowskiej na ziemiach polskich.

Prace konkursowe mają traktować o kwestyi żydowskiej ze stanowiska społeczno-politycznego, prawnego, ekonomicznego, statystycznego lub kulturalnego i mogą dotyczyć albo całości ludności żydowskiej w Polsce, lub też w jakiegokolwiek jej części—Litwie, Królestwie, Galicyi, mogą też roztrząsać pojedyncze zagadnienia, jak syonizm, „Bund“ lub inne.

Termin nadsyłania prac, pod adresem Wydz. Filozoficznego na Uniwersytecie Lwowskim—31 grudnia 1909 roku. Nagroda 1-sza 1600 kor., 2-ga—400 koron.

Osobiste.

Współpracownik naszego pisma, znany historyk Henryk Mościcki, powrócił z podróży naukowej zagranicę.

NADESŁANE.

„F. KOZŁOWSKI”

Telef. 39-99
OBECNIE

NAJTAŃSZE ŹRÓDŁO: Lamp, Porcelany, Fajansu, Szkła, Galanterji, Noży, Widelcy etc., etc. Wynajmuje nakrycia stołowe, plastery, bieliznę, krzesła, stoły.

Warszawa, Rymarska 7, róg Leszna **S. Nowacki**

ŻYRANDOLE

kościelne i salonowe do świec i gazu. Wielki wybór. Najniższe ceny. Reperacje i odnawianie żyrandoli.

W wielkim wyborze przyzmy kryształowe do żyrandoli. Jedyny palnik naftowo-żarowy bez wszelkich komplikacji 60% oszczędności nafty. Komplet rub. 3.

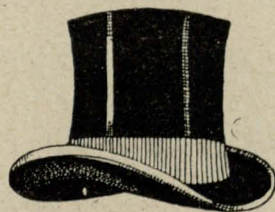
Grzebienie i szpilki
do upinania fryzur damskich

szylkretowe, rogowe i celuloiowe, poleca

STEFAN POREBSKI

Kraków, Rynek 32, linia C-D

C-SKORYNA i S-ka FABRYKA MASZYN
I KAMIENI MŁYŃSKICH
BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA - PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE.
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i. t. p.



ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, ULICA SŁAWKOWSKA 3

poleca nowości na każdy sezon

KAPELUSZE-CYLINDRY

ALFONS MANN

Warszawa, Tłomackie 3.
Fabryka założona w 1819 r.

Narzędzia gospodarsko-weterynaryjne. Maszyny do strzyżenia koni. Amerykańskie maszynki do golenia „Star“ i Gillette.

Rynek głów. linia AB róg ul. Floryańskiej
KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

W. CYBULSKI i S-ka
Warszawa, Nowo-Senator. 7.
Telefon 60-29

Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

Tow. Akc. Browaru **Haberbusch i Schiele**
poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

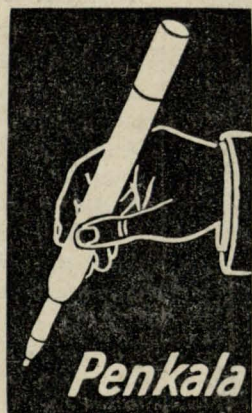
SZKOŁA KAROLA SCHULZA
w Warszawie, ul. Św. Barbary 10.
Przyjmuje chłopców analfabetów i z początkami, i przyspasabia ich do wszystkich średnich zakładów naukowych. Szkoła kładzie główny nacisk na poglądowość w nauczaniu. Przy szkole znajduje się bogate muzeum szkolne, zawierające przeszło 10,000 okazów do poglądowego nauczania, które zwiedzać mogą wszyscy, interesujący się wychowaniem młodzieży.

ZAKŁAD FREBLOWSKI przyjmuje chłopców i dziewczynki od 3—7 lat.
Zapisy przyjmuje się codziennie od godz. 9 do 6.
Lekcje rozpoczną się 2-go września.

KATALOG nowy zakładu pomologicznego **A. GIRDWOYNIA** wyszedł z druku i na żądanie wysyła się bezpłatnie. Warszawa, Leopoldyny 32.

MAISON „SPLENDID“
MAGAZYN
BIELIZNY PARYSKIEJ
i
Bluzek wiedeńskich
Warszawa, Czysła 2.
Telefon 190 20.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.



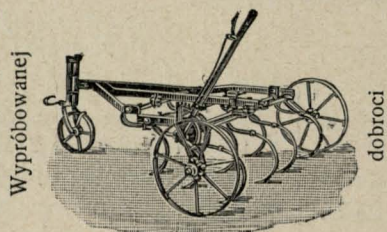
DO NABYCIA WSZĘDZIE
REPREZENTACJA
Nachtlicht & Kamiński
Warszawa, Tomackie 1

SALON „ARS“

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).
Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

Wielki wybór najnowszych
Kultywatorów sprężynowych

zastosowanych do wszelkich rodzajów gleby i do różnej siły pociągowej.



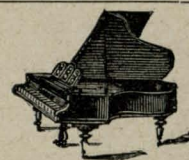
Szczegółowe opisy przesyłam na żądanie

ALFRED GRODZKI

Warszawa, 33 Senatorska.

Denaturowany spirytus.
Spirytus stały w puszkach, spirytusowe lampy, palniki, kucharki, żelazka i t. p.
B. CIA WIŚNIEWSKY I S-ka
Foksal 18, Telefon 3039.

FORTEPIANY,
PIANINA, PIANOŁE,
ORGANY,
MELODYKONY



GEBETHNER i WOLFF

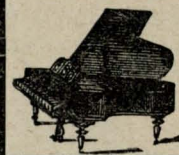
Warszawa, Krak.-Przed. 17

Lecznica D-ra Tarnawskiego w Kosowie (St. kolei Zabłotów) w Galicyi w połud.-wschodnich Karpatach, otwarta od 1 maja do końca października. Leczenie wodą, dietą (także jarska i owocowa), kąpielami słonecznymi, gimnastyką i przysposabianie do życia higienicznego.

LUDWIK SZUFA KRAWIEC

KRAKOW TELEFON 671

MAŁECKI



Fabryka
Fortepianów
i Pianin

PIĘKNA Nr 1 (róg Alei Ujazdowskiej) tel. 170.65.

Dr. I. Wapiński ord. klin. szpitala świętego Łazarza Nowosenańska 10. Telefon 942. Choroby skórne i wener. Do 12 rano i od 5—8 w.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“ w ROKU 1908.

NOWA SERJA.

12 TOMÓW DZIEŁ HISTORYCZNYCH, LITERACKICH I NAUKOWYCH

W cenie niższej rb. 6, zamiast rb. 23 kop. 90.

Chmielowski P. Józef Ignacy Kraszewski. Zarys biograficzno-literacki	3.—
Desmolins E. Szlaki dziejowe a typy społeczne. Szlaki starożytne. Przyczynek do geografii społecznej. Spolszczył Ludwik Krzywicki	1.50
Kochanowski J. K. Szkice i drobne historyczne	2.—
Papée F. Studya i szkice z czasów Kazimierza Jagiellończyka	2.40
Raleigh T. Zasady elementarne polityki, z angielskiego tłómaczył Dr. J. Polak	—60
Smoleński Wł. Ostatni rok Sejmu Wielkiego (dalszy ciąg dzieła ks. Kalinki p. t. Sejm czteroletni). Wyd. 2-gie	3.40

Sobieski W. Dr. Szkice historyczne	1.50
Sprawy szkolne i wychowawcze. Odczyty, wygłoszone w wydziale wychowawczym Tow. higienicznego. Serja I	1.—
Tokarz W. Ostatnie lata Hugona Kołłątaja, 1794—1812. Praca, odznaczona nagrodą im. J. U. Niemcewicza. 2 tomy	4.50
Weysenhoff J. generał. Pamiętnik 1789—1831. Z portretem autora, wydał Józef Weysenhoff	2.—
Zdziechowski M. Szkice literackie I.	2.—

12 POWIEŚCI

W cenie niższej rb. 5, zamiast rb. 15 kop. 30.	
Gawalewicz M. Mgła. Powieść	1.20
Gliński K. W Babinie. Powieść z pierwszych lat Rzeczypospolitej Babińskiej. 2 tomy	2.50

Gruszecki A. Stomiany ogień. Powieść współczesna	1.50
Jabłczyński F. Romans.—Okolo śmierci.—Przy robotach.—Szum drzew.—Eustachiusz.—Panna Anna i inne obserwacje życia.—Uczciwy człowiek.—Don Marco Bullon.—Pantofle	1.50
Jeske-Choiński T. O mitrę gospodarską. Powieść historyczna z XVI stulecia	1.50
Kosiakiewicz W. Plama (Z pamiętników wynalazcy)	1.—
Mutermilch M. Żydzi. Powieść	1.50
Orkan Wł. Nowele. Z przedmową Kazimierza Tetmajera	1.—
Prévost M. Listy do Frani. Przekład Maryi Rodysowej, z 59 wydania oryginału	1.20
Rojan K. Lepsze czasy. Powieść	1.20
Świdorska A. Obok szczęścia. Powieść współczesna	1.20

Nagrodz. złotym medalem na wyst. przemysł.-zdrojowej w Ciechocinku

Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzećinowych T. & W. Krakowscy Kantor: Warszawa, Nowogrodzka 36. Tel. 36.83.

PLYN
Cena flak.
rub. 1.

HEMOGEN MAGISTRA KLAWE

najracjonalniejszy preparat żelaza.

stosowany przy ogólnym osłabieniu, małokrwistości, osł. nerwów i u rekonwalescent. każdego wieku.

Uznany przez powagi lekarskie, jako **dzielny środek krwiotwórczy i pobudzający apetyt.**

Wyrób laboratorium apteki Magistra Klawe, Warszawa, 10 Pl. Św. Aleksandra.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn **Krakowskie Przedmieście** **№ 15** dom Hrabiego **J. Potockiego**

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa